

# DZIS & JUTRO

## KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok V Warszawa, 10 kwiecień 1949 r. Nr 14 (176)

TREŚĆ NUMERU: A. Łepkowski – Marcowa noc; W świetle; J. Majkut – Na ekranach Paryża; Leszczyński – Film; Wkładka „Etap”; Tydzień kulturalny; Żywe wydanie dzieł Fr. Chopina; St. Urstein – Widowiska muzyczne w Warszawie; Jerzy Artemski – Wędrowki po scenach polskich; j. a. – Dość teorii; Czytelnik uważa, że...

# ZEZOWATE POZNANIE

Nieradko posłyszec można od przeciwników katolicyzmu — i to ludzi, uchodzących za ścisłych logików i obiektywnych myślicieli — takie pytanie: dużo mówicie o swojej filozofii, socjologii, nauce, ale co właściwie macie na myśli? Którą filozofię, którą socjologię, jaką naukę? Przypuściwszy teoretycznie, że będziecie mieli swobodę w urządzaniu życia społecznego i politycznego, nie możemy absolutnie przewidzieć, na jakich podstawach, według jakich wzorów i wskazówek będziecie postępować? Czy oprzeć się na wzorach pierwszych chrześcijan, którzy dali się zabijać, gdy nie umieli, czy nie mogli się schować? Czy na wskazówkach świętego Augustyna, który pochylał niewolnictwo? Czy na Krzyżakach, którzy nawracali mieczem? I my wochę znamy historię i wiemy, że w każdym wieku, w każdym kraju i okolicznościach katolicy postępowali inaczej. Cóż więc znaczy ta mowa o katolickiej nauce, skoro katolickie nauki, w każdym wypadku są inne?

Pytania takie są znacznie obfitsze i bardziej przytłaczające, niż to mogą oddać, jednakże mają ten sam duch i kierunek. Starałem się wmyśleć w wątpliwości przeciwników i mam złudzenie, że je zrozumiałem. Chodzi im o rozbieżności, a nawet sprzeczności, jakie istniały w społecznym postępowaniu katolików w różnych epokach, a które mają dowodzić braku jedności i logiki nauki katolickiej. Rozumowanie to opiera się na faktach i dla tego ma pozory oczywistości. Wiedzę katolików, nawet inteligentnych, nie umie na nie odpowiedzieć. Zarzut wydaje się nieodparty. Zresztą, ma on dowodzić wielu jeszcze innych ważniejszych rzeczy, bardzo niemiłych dla katolików.

Na tym miejscu zajmę się jednak tylko rozbiorem logicznym przytoczonych pytań. Fakt, że w ogóle się je stawia i to przez uznanych logików, oraz że wydają się one nie odparte, bardzo smutnie świadczy o ogólnym poziomie myślenia naszych czasów. Chwilka zastanowienia wystarczy do zrozumienia, jak powierzchowne i wprost dziecinne rozumowanie kryje się za tymi pytaniami.

Uderza mnie przede wszystkim ich charakter retoryczny. Są to pytania, godne poety, nie logicznego filozofa. Tylko zachwycony poeta może pytać z uniesieniem, która z uroczych, a tak różnych postaci pani Zofii np., jest prawdziwa. Czy ta w kapech i wspaniałym futrze, czy owa w sukni wieczoro-

wej na balu, czy też ta w spodniach i wiatrówce, którą się widzi w górach na nartach? Może on też poetycko nie wierzyć, że ziarno i rozłożysta jabłoń są w zasadzie tą samą rzeczą. Można by się naiwnie pytać, który hitleryzm był prawdziwy: przed dojściem Hitlera do władzy, czy po dojściu, z okresu Monachium, czy też w czasie wojny i obozów koncentracyjnych? Który socjalizm jest prawdziwy: angielski, rosyjski czy pepesiacki z 1905 roku?

Pytań podobnych można by postawić setki i wszystkie byłyby jednakowo uzasadnione faktami, historią, oczywistością. Wszystkie jednak byłyby śmiesznie naiwne. Mimo pozornej, ba, rzeczywistej różności przejawów, wszędzie w tych wypadkach widzimy, tę samą rzecz. Kto chce wjeździeć, jaki jest hitleryzm, nie patrzy na wycinki z historii tego ruchu, ale czyta Mein Kampf. Kto chce poznać prawdziwy marksizm ten czyta pisma Marksa i Lenina. Kto chce poznać katolicyzm, ten czyta Pismo Święte i orzeczenia soborów i papieży. Nakazy Chrystusa nigdy nie były przez katolików stosowane w swej czystości, w życiu publicznym, a to dla tej prostej przyczyny, że żadne państwo katolickie nie składało się nigdy z samych doskonałych katolików, to jest świętych. Bywali święci królowie, ale panowali oni nad dzikimi barbarzyńcami. Wprawdzie był wypadek teokratycznego państwa kościelnego, tzw. Redukcja peruwiańska, rządzone całkowicie przez Jezuitów, ale choć było to społeczeństwo urządzone idealnie, o ile to jest możliwe na ziemi, to i ono nie może być absolutnym wzorem dla innych katoli-

ków. Ustrojem był tam komunizm państwowy. Ale ustrój ten był rodzimym ustrojem peruwiańskim, który był tam praktykowany jeszcze na długo przed najazdem Hiszpanów. Miejscowy obyczaj jest w takich wypadkach decydujący, bo stanowi on wynik naturalnych potrzeb danego społeczeństwa. W Peru był on zaprowadzony przez Jezuitów perswazją, nie przymusem. W każdym razie urzeczywistnienie nakazów Chrystusa, tak trudne samo przez się, jest jeszcze prawie niemożliwione przez warunek istotny — dobrovolności ich stosowania. Katolik nie może, jak Karol Wielki, za łamanie postów łamać żeber i zębów. Może on tylko działać duchem, to jest słowem i przykładem. Katolicy dążyli do wcielenia nakazów Chrystusa w swoim osobistym życiu przede wszystkim, a w publicznym na tyle, na ile im pozwalały warunki, poszczególne doskonałości wszystkich jednostek społeczeństwa, własne poglądy, nieradko mylne, stopień oświecenia itp. Zresztą, Kościół jest królestwem nie z tego świata. Głównym, jedynym nawet jego celem jest doskonałość, umożliwiająca zbawienie duszy. Urządzenie społeczeństwa prowadzenie polityki wewnętrznej i zagranicznej, dobijanie się władzy, zaprowadzanie ustrojów, takich, czy innych, może wynikać tylko pośrednio z jego działalności istotnej, ale celem głównym nigdy nie było. To jest przyczyną, dla której nigdy nie było zgody między katolikami w rzeczach doczesnej polityki i nigdy jej nie będzie. Z punktu widzenia katolickiego można każdy ustrój potępić i każdy po-

chwalić, zależnie od kąta patrzenia. W każdym można się zbawić mimo, a nawet dzięki jego ujemnym stronom. Stąd święty Augustyn, który był mądry w teologii, moralności i filozofii, ale nie był wyrocznią w zagadnieniach politycznych, mógł chwalić niewolnictwo, bo dawało zbawienie, jak każde męczeństwo. Ciekawym jednak, czy znalazł kto u niego zalecenie handlu niewolnikami, jako środka do zbawienia. Wystarczy, jeśli katolik cierpliwie znosi przeciwności losu i dobrze działa, z miłością wobec ludzi i trzyma się Chrystusa, aby mógł myśleć poza tym, co mu się podoba. Stąd, jeśli katolicy pragną władzy i chcą zaprowadzać jakieś programy, to, wydaje mi się, że będą działać nie jako katolicy, ale jako politycy, patrioci, społecznicy itp. Jest to konieczne rozróżnienie. Zawsze mogą przy tym czerpać na tchnienie z Ewangelii dla politycznej działalności, ale nie będą katolikami, dopóki nie będą stawiali niżej celów politycznych od wiecznych. Doczesna wartość uczynków jest zupełnie różna od nadprzyrodzonej. Ileż to głupstw politycznych narobił Ludwik święty, a nikt prawie nie śmie mu ich wypominać, tak wielką wartość przedstawia jego szlachetność i prawość osobista, nadprzyrodzona. Zabrnąłem zresztą w rzeczy bardzo zawiłe i nie chcę dłużej nad tym się zatrzymywać. Chodzi mi tylko o podkreślenie, że katolik może postępować, jak chce, byle miał czyste sumienie, silne przekonanie i dobrą intencję, oraz żeby nikogo nie krzywdził. Dobre polityczne uczynki katolików zawsze pełnili przez instytucje niezależne.

Ale pytania, przytoczone na początku niniejszych rozważań, mają jeszcze jeden, ważniejszy charakter od retorycznego. Są one empiryczne. Ich podstawa logiczna wychodzi ze specjalnej teorii i praktyki poznania. Rozumowanie tego nie nazwę indukcją, po to, żeby mu zarzucić następnie brak dedukcji. Sama bowiem nazwa dedukcja jest wysoce bałamutna, gdyż nasuwa niedorzeczny pomysł, jakoby ludzki umysł miał sam w sobie jakieś źródło poznania, jakieś dane urodzone, uprzednie, tzw. a priori. Skąd by się tam wzięły? Samą treścią terminu „poznanie” musi być objęcie umysłem tego, czego w nim dotąd nie było. A więc wraz z księdzem Jakubisiakiem stoję na stanowisku, że wszelkie ludzkie poznanie jest empiryczne. Ale jest ono dwojakiego rodzaju. Zmysłowe i umysłowe. Człowiek poznaje rzeczy, jakie napotyka na swej drodze. Rzeczy zaś mają dwa składniki: istotę i naturę. Pierwsza jest tworem umysłowym, szkieletem matematycznym, planem rzeczy, na który składa się proporcja wewnętrznej struktury i zewnętrzne granice rzeczy, druga zaś materialnym urzeczywistnieniem tej istoty i ogół jej własności. Przy poznaniu, zmysły poznają naturę rzeczy, jej własności, przejawy, umysł zaś istotę, proporcje wewnętrznej struktury i granice.

Ten krótki, choć może nużący wykład nauki o rzeczy i jej poznaniu jest konieczny dla zrozumienia, jakie poznanie jest prawdziwe, a jakie fałszywe. Istota jest stroną stałą, trwałą, matematyczną rzeczy. Natura zaś jest przejawem jej zmienności, rozwoju na zewnątrz jej własności życia. Jeśli więc uwzględniamy głównie umysłowe poznanie, wtedy rzeczy wydadzą nam się abstrakcyjne, nierealne, bo bierzemy z nich tylko umysłowy plan, matematyczne proporcje. Obraz taki będzie niepełny, a więc nieprawdziwy. Biorąc zaś pod uwagę przeważnie zmysłowe poznanie, otrzymamy prąd ustawicznie zmieniających się wrażeń, faktów zjawiających się i ginących, by ustąpić miejsca innym zjawiskom. I ten obraz będzie niepełny, bo powie nam on, że rzeczy są zmienne, co raz inne, że nie są one samymi sobą, ale stale czymś innym jak nasienie od jabłoni, która z niego wyrasta, umysł zaś dowodzi, że jest to rozwój samej rzeczy. Umysł mówi nam, że rzeczy są też same dlatego, że mają w ciągu całego swego istnienia ten sam plan, własny szczególnie układ, zmysły zaś, że mają one

(dokończenie na str. 4).

### Wytyczne

Jesteśmy za pokojem — ponieważ światopogląd katolicki nie aprobuje wojen zaczepnych.

Jesteśmy za pokojem — ponieważ nie wierzymy, aby siły militarne mogły rozstrzygnąć konflikt ideologiczne.

Jesteśmy za pokojem — ponieważ interes naszego narodu leży nie w wojnie, ale w odbudowie i rozbudowie kulturalnej i gospodarczej, leży w umocnieniu naszej granicy na Odrze i Nysie.

DA1591052



MAMO, znowu tamci przyszli, z ojcem chcą mówić.

Pani Małgorzata nastroszyła się i otarła ręce w zapaskę.

— Powiedz im, że wyszedł. Nie ma ojca w domu i koniec. Czego oni znowu chcą? — mruczała.

Wróciła do garnków, na których skakały pokrywki. W piecu dudnił ogień, a w kuchni drzemało przytulne ciężkie ciepło.

Dziewczyna, która przyszła ze dworu, podbiegła do matki i szepotała z nią.

— Mówią, że muszą się widzieć z gajowym zaraz.

Pani Małgorzata chwyciła ją za rękę.

— Zostań tutaj, ja pójdę do ojca.

Ugoni się cały dzień po wodzie, jeszcze mu zdrzemnąć się nie dadzą — sapała w złości. Otworzyła drzwi do drugiej izby i weszła w mrok przesiąknięty zaduchem spononych skarpetek i juchtowych butów. Przez szparę wpadło za nią światło z kuchni, zaskrzypiała podłoga.

— Janek, Janek — szarpnęła męża za ramię.

Gajowy zwiłkł się z pościeli nie bardzo przytomny. Siadł na krawędzi łóżka w długich białych kalesonach i chudymi nogami zagarnął pod siebie pantofle.

— Janek, oni przyszli. Chcą cię widzieć.

Gajowy otrzeźwiał trochę. Popatrzył żonie w twarz.

— Zawrzyj, światło raz! W izbie dość jasno od śniegu za oknem. Ogarnę się prędko. Idź już, przygotuj mi chleba do drogi.

Chciała o coś spytać, ale mąż burknął: Idź już Małgosiu, zakrzętnij się...

Wróciła i starannie zamknęła drzwi. Dziewczyna zwróciła się z ławy, na której przysiadła.

— Co im powiedz?

— Niech czekają...

Obok w izbie ojciec wciągał buty.

Słychać było jak nabija je na nogi i przytupuje obcasami o podłogę.

— Powiedz im, że gajowy zaraz będzie...

Andrzej Łepkowski

# MARCOWA NOC

Pani Małgorzata spojrzała na drzwi dzielące ją od męża. Zachowywał się głośno, jakby miał już wyjść do gości.

— Joaska, prosz ich do izby — zdecydowała matka.

Dziewczyna wybiegła. W sieni nagle zrobił się hałas. Ktoś przewrócił skopek i zaklął.

— Tędy, tędy — piszczała Joasia.

Do kuchni weszło trzech dryblasów w kożuchach, stanęli pod ścianą rzędem i leniwie zdjęli czapki.

— Dobry wieczór — zadudnili niskimi głosami. Pan Czajka... zaraz... tu do nas?...

— Tak, mąż już się zbiera — dokończyła gospodyni.

Kiwnęli głowami z zadowoleniem i poprawiali się kołysząc ciała na rozkraczonych nogach.

— Joasia, podsuń ławę...

Pomogli dziewczynie i rozsiedli się niezgrabnie. Joasia przykucnęła w kącie. Sięgnęła po sito z pierzem. Mężczyźni patrzyli na nią szczerząc zęby.

— Wy córka gajowego — zaciągnął jeden z ukraińskich.

Dziewczyna uśmiechnęła się łapiąc natrętne spojrzenia przystojnego chłopca, które waleśało się po jej odsłoniętych kolanach.

— Tak...

Zaczerwieniła się bardzo i obciągnęła kwiecistą spódnice.

— Zapalić można? — zapytał jeden z obcych.

Gospodyni kiwnęła głową. Wyjęli z kieszeni bibułki i tytoń. Zręcznie skreślił w grubych palcach papierosy. Odrzucił chłop, który ciągle śmiał się do Joasi, podszedł do pieca i na łopacie przyniósł trochę żaru. Cmokali chwilę nad węgielkami. Twarze ich nasycały się czerwienią.

Pani Małgorzata spojrzała na córkę. Dziewczyna patrzyła w te twarze z ciekawością. Pociemniała od rumieńców

i uśmiechała się. Matka chciała się obruszyć, ale właściwie nie było powodu.

— Idź po wodę córku — powiedziała prawie obojętnie.

Joasia wstała i odłożyła sito. Koło okna zerknęła ukosem w nadszczerbione lustro. Poprawiała chustkę, idąc już ku drzwiom do sieni. W ciasnym przejściu zawadziła biodrem o ramię jednego z siedzących. Poruszyli się za nią i wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Wzięła z kąta wiadra i wyszła na dwór. Do izby dolatywało jeszcze chwilę dzwonienie łańcuchów, potem jej młoty, ale piskliwy głos nucił jakąś piosenkę. Za oborą ujadł pies.

Trzej mężczyźni patrzyli w czarny prostokąt otwartych drzwi, z którego ciągnęło odwilżą i przedwieśniami.

— Fajna... co? — mruknął kędzierzawy olbrzym i wyrzucił kolegę po udzie, aż huknęło.

Pani Małgorzata odechrząknęła — chciała przypomnieć, że jest w izbie. Popatrzyła na nią spod kosmatych nawistych brwi. Określiła się na piecie i zaczęła z zapalem mieszać w garnkach. Tymczasem od pola wróciło miarowe szurkanie rozkołysanych wiader i głos Joasi nawołujący w ciemności:

— A stulże ten pysk psie przekłety, bo ino gości wystraszysz...

Na ten nieskomplikowany odruch gościnności pani Małgorzata zamachała bezradnie kopyścią. Kilka kropel upadło na blachę — zaczęły skwierczeć i dymić.

Joasia stanęła w progu, ugięła lekko kolana i postawiła wiadra na ziemi. Wyciągnęła z pod ławy baniak. Przelewając wodę szybko, z roztargnienia chlapiąc wokół. Później podniosła się i poderwała wiadra. Chwilę stała w drzwiach i jakby chciała sobie coś przypomnieć, zerknęła po izbie. Z ociąganiem cofnęła się do sieni.

— Może ponieć — jeden z młodych podsunął się niedźwiedzimi ruchami ku drzwiom. Słychać było jak bierze w ciemności wiadra od Joasi. Pies zaszczekał znowu, tym razem zjadł, czując obcego.

Pani Małgorzata odstawiała kipiącą grochówkę i człapiąc pantoflami podszła do okna. Czołem przylgnęła do szyby, rękami osłoniła oczy od światła z wewnątrz.

Na dworze było całkiem widno i niebiesko. Na przestrzeni śniegu czerniały zabudowania, płoty, a dalej las podobny do długiej stodoly z nastroszoną strzechą. Prawie pod samym oknem leżały porzucone wiadra.

Dwa cienie biegly zakosami. Co chwila schylały się i ciskały w siebie grudami lepkiego śniegu. Jedna z grud uderzyła mężczyznę w głowę. Podbiegł do dziewczyny i stopił się z nią w jeden ruchomy kształt. Przez uchylone drzwi wleciał do kuchni urwany śmiech i szuranie rozłożonego psa.

Pani Małgorzata odskoczyła od okna. Chciała wybiec na podwórze, ale zatrzymała się na widok dwóch obcych. Zapamiętała, że są w izbie. Mężczyźni w kożuchach wydawali się jej teraz bardziej podejrzani niż przed tym. Odruchowo spojrzęła na skrzynię, w której były pieniądze i cała wyprawa córki.

— Zwariowała ta Joasia czy co? — wyleciało jej głośno przez zęby.

Obok za drzwiami gajowy chodził po izbie.

— Janek, panowie czekają — upomniała go przez ścianę żona.

Odkasznął, że już wychodzi. Pani Małgorzata tymczasem wyjęła z szafy chleb i smarowała go masłem odwrócona tyłem od tamtych.

Goście skreśli znowu papierosy i rozmazali kuchnię w gęstym zawieszonym dymie. Na dworze ucichły głosy, nawet owczarek gajowego przestał ujadać. Jeden z mężczyzn nachylił się i szepnął coś koleźce do ucha. Rozśmiali się hałaśliwie, wychylając twarze do sufitu.

Do kuchni wszedł gajowy w kożuchu i czapce. Rozejrzył się po zadytmionym wnętrzu i przywitał siedzących.

— Oczęć panie Czajka — nie powstał przy podaniu ręki.

Gajowy przerzucił przez ramię zielony wojskowy chlebak, rozglądając się znowu i spytał:

— Gdzie Iwan?

— Został na dworze, pilnuje — zarechotał znowu głośno.

— Idziemy! — zerwali się z ławy raptownie i stanęli nad gajowym, przerażając go więcej niż o głowę.

Pani Małgorzacie narzuciła się myśl, że z każdego z nich można by wykroić dwóch takich, jak jej mąż. Zaraz pomyślała o Joasi. Dobrze oko ma dziewczyna, ale przyzwyczajona do grosza.

Tamci właśnie wychodzili zaganiając gajowego przed sobą rękami. Byli już w czapkach i pomrukiwali coś na odchodnym.

Pani Małgorzata uchyliła okno i zapytała jeszcze w kierunku idących:

— Janek, kiedy wrócisz?

Nie było odpowiedzi, tylko z grupy zakrzyknął głos — Iwan, Iwan!

Za chwilę z mrocznego kąta podwórza nadbiegł cień i przyłączył się do nich. Szybko wchłaniała ich ściana lasu. Widać było już tylko nogi ruszające się na śniegu i jakby przytwierdzone do krawędzi zarośli. Księżyc mżył przez mętne rozwleczone chmury. Do izby ciągnęło mokrą ziemią, której szeroki pas odsłonił się na skraju zabudowań. Kapalo z dachów.

— Wiosna, pomyślała pani Małgorzata. Równocześnie druga myśl, jak idealne przeciwieństwo tamtej zakreśliła się jej w głowie — Niemcy...

Odeszła od okna, zamknęła je. Poprawiała starannie zielone mirty.

Niemcy... Są już pół roku... A wiosna idzie taka rześka. Śniegi topnieją. Kobieta nadstuchiwała. Zdawało się jej, że daleko turkocze samochód. Weszła do sieni i stanęła w drzwiach. Las szumiał. Z gór nadleciał silny podmuch i przewalał się po drzewach.

— Myślałam, że skręcił w naszą drogę, ale to kolo wsi na szosie. Nerwy ma człowiek stargane. Wszędzie coś usłyszysz, czegoś czeka. Pomyślała, że musi zwymyślać Joasię, jak tylko przyjdzie od podoju. Szczerzy zęby do byle chłopca. Bez wstydu dziewczucha czy co? Ej, żeby to Antek wiedział...

Przez chwilę zastanawiała się, czy poskarżyć narzeczonemu córki. Łepiej niech się sam martwi. Ale ojen trzeba powiedzieć. Niech sobie z dziewczyną porozmawia... — Ale co chłopcy to chłopcy, tylko, że im źle z oczu patrzy.

Pani Małgorzata zamachała nad głową rękami, jakby chciała odgonić muchę. Ze też się Janek kuma z byle kim.

— Uchowaj Boże od złego! — przeżegnała się głośno. Znowu mimo woli spojrzęła w okno.

Przez ciemno niebieski śnieg, grający chłodem obok ciepłego światła karbidówki, szła od podoju Joasia. Stopy stawała powoli, chwiejąc się rytmicznie. Nie śpieszno jej było do izby. Zatrzymała się koło psa i postawiła skopek. Ogromny owczarek oparł jej łapy na ramionach. Spuściła go z łańcucha. Biegał w kółko z nosem przy ziemi, aż trafił na jakiś ślad i pognął przed siebie.

Za chwilę w sieni skrzypnęła zasawa, Joasia zamykała dom przed nocą. Weszła do kuchni rumjana i trochę zawstydzona. Ominęła pierwsze spojrzenie matki i rozlewała mleko do garnków.

— Gdzie ty się włóczyła z tym Iwanem? — zaczęła pani Małgorzata spełniając ze złości.

— Ty... ty bezwstydnico... Czemuś się do nich śmiała? Tak ja cię uczęłam?... Gdzieście byli? Może on za ciebie krowy doł co?

Głos matki rósł i wypełniał powoli całą kuchnię.

— Dałby ci Antek! — krzyknęła nagle i wstała od stołu oglądając się niewiadomo za czem.

Joasia oparła się o ścianę i patrzyła w jeden wystający gwóźdź w podłodze. Twarz jej pociemniała. Przygryzła wargi, aż zbieleły. Nagle odrzuciła głowę do góry i zagładnęła matkę w twarz.

— A cóżto jeden Antek na świecie. Mogę mieć dziesięciu Antków.

Znowu zacięła usta i odnalazła wzrokiem bliznący łepiek gwóźdź w desce pod nogami.

Matka przysiadła na krawędzi stołu. — Coś ty powiedziała? — krzyknęła. Nie czekała potwierdzenia i wołała dalej: Wychowałam sobie córuchnę. I taką między ludzi posłać... Dziewka.

Ulżyło jej, zauważyła nawet, że trochę za ostro przewalała córkę.

— Joaska, tobie wszystko jedno co we wsi mówią? — zaczęła ciszej. Wiesz co mówili o France Leonów. Ludzie widzą. Przed kościołem będą cię palcami pokazywać. Książdz na spowiedzi od czi odsądzi. A nasz proboszcz pamięta. Podczas kazania tak popatrzy na ciebie, że się ze wstydu spalisz.

Joasia ciągle patrzyła w ziemię. Czarne włosy wysunęły jej się spod chustki i zasłoniły zupełnie czoło.

Do szyby dobiła się szczerkanie owczarka gajowego, a później szybkie przekorne ujadanie innego psa. Joasia ze swego miejsca pod ścianą zobaczyła za oknem dwa obok siebie podskakujące cienie.

— Mama nigdy nie była młoda? — zapytała zniechęta.

## W świetle

### Wybory we Francji

W ciągu dwóch niedziel marca odbyły się we Francji drugie po wojnie wybory kantonalne. Pierwsze były w roku 1945, przed uchwaleniem przez izby ustawodawcze nowej ordynacji wyborczej. Ordynacja ta wprowadzona wbrew głosom posłów komunistycznych — rzeczywistość skrupiła się właśnie na komunistach. W tym celu zresztą była układana.

Wybory kantonalne — są to wybory do samorządu. Według nowej ordynacji cała Francja podzielona została na 1508 kantonów, z których każdy wybiera jednego radnego. Radnym zostaje kandydat partii, która zdobyła bezwzględnie większość, a więc ponad 50% głosujących. Na przykład — teoretycznie może się to zdarzyć — we wszystkich kantonach zwycięży partia „A”, wszędzie osiągając, powiedzmy, swe 52% głosów. Wtedy opinia 48% wyborców — a więc pokaźnej ilości narodu — w ogóle nie znajdzie się na forum rady czy parlamentu. To pierwszy fałsz tego systemu. Drugi polega na tym, że granice kantonów są konstruowane tak, by w różnych ośrodkach rozmaita ilość głosów potrzebna była do osiągnięcia bezwzględnej większości. I tak w środowiskach miejskich, robotniczych, ten sam jeden mandat wymaga wysokiej ilości głosujących w środowiskach wie-

skich — stosunkowo niskiej. Bilo to oczywiście w wyborców komunistycznych, gdyż rekrutują się oni głównie z miast.

Ponieważ w pierwszą niedzielę wyborczą — bezwzględnie większość zdobyli jedynie kandydaci w 723 kantonach — w innych głosy były rozstrzelone — pozostałe 785 kantonów głosowało tydzień później. Pozwoliło to ugrupowaniom prawicowym, de gaullistowskim i centrowym na stworzenie bloku skierowanego przeciw kandydatowi komunistycznemu.

Efekty nie zdradziły zaufania, jakie centrum i prawica pokładały w ordynacji wyborczej. Partia komunistyczna zdobyła zaledwie 2,5% ogólnej ilości, tj. 37 na 1508 radnych.

Natomiast SFIO zdobyło 270 mandatów. Te dwie cyfry nabierają jednak dopiero wymowy w zestawieniu z ogólnym wykresem głosujących. Otóż w sumie partia komunistyczna zdobyła 25% wszystkich głosów. Tyleż samo padło na kandydatów de-gaullistowskich. Natomiast SFIO zdobyła 17% głosów. Reszta podzieliła się między mniejsze partie, przy czym niezwykle charakterystyczny jest spadek siły MRP (9%). Jak widać ilość radnych nie pozostaje w żadnej proporcji do ilości głosujących.

Wybory we Francji ujawniły bardzo charakterystyczną ce-

chę współczesnego francuskiego życia politycznego. Jest nią polaryzacja ideowa; wyborcy przesuwają się do centrum do grupom skrajnym, z kompromisowych („trzecia siła”) stanowisk ku grupom bezkompromisowym. Stąd wzrastająca siła de-gaullistów, przy zmniejszającym się znaczeniu grup środkowych. Stąd też trwałość składu partii komunistycznej, która już od wojny stale oscyluje około 25% wyborców francuskich. Mimo wszelkich ataków i nacisków, mimo tak zasadniczej zmiany sytuacji politycznej we Francji w ciągu czterech powojennych lat — komunisti utrzymują swój stan posiadania. Ataki utrwalają jedynie zwartość i determinację tej grupy. Co czwarty wyborca we Francji jest komunistą. To ma znaczenie ideologicznej mocy, z której oddziaływanie na układ sił politycznych w zachodniej Europie jest bardzo duże. Wybory kantonalne odbyły się już po oświadczeniu Thoreza, w jakim zadeklarował on imieniem swych ideowych współwyznawców odmowę ewentualnej walki z ZSRR. Oświadczenie to, będąc odpowiedzią na prowokację prawy było jednocześnie deklaracją stanowiska partii.

Stanowisko to spotkało się z uznaniem jej członków, choć było poprzedzone falą aresztowań przywódców robotniczych.



Pani Małgorzata zastanowiła się.

— Widzisz Joaska, młodość nosić w sobie trzeba całe życie. A chodzenie po ziemi nłożyć trzeba tak, żeby było pięknie, nawet jak ci się gęba pomarszczy jak jabłko w kwietniu. Teraz chłopaki na ciebie patrzą. A potem byle kto za drzwi wyrzuci i powie, że takich w domu nie chce...

Będziesz gospodynią, będziesz miała chałupę, to ci żdziebko radości na koniec zostanie.

Była rada ze siebie, że wszystko wyłożyła mądrze jak na kazaniu.

Dziewczyna patrzyła jeszcze w okno. Cienie psów igrały ze sobą. Rozmowa wygasła. W kuchni zrobiło się cicho i sennie. Joasia kończyła przelewać mleko do kamiennych garnków. Biała struga szeleściła pieniąc się po wierzchu. Matka zdjęła chustkę i składała ją starannie. Pod stołem odszukała drewnianego pieska i zwała cholewę. Napelniła cebrzyk gorącą wodą.

Córka wyniosła mleko do komory. Czarny kot zeskokczył z pieca. Zlżywał do czysta białe krople, które przypadkiem przysnęły na podłogę. Silniejszy powiew wiatru dobywał się z szumem do okna.

Pani Małgorzata westchnęła:

— Boże uchowaj od wszelkich nieszczęść. Zanurzyła z namysłem obolałe od odcisków stopy. Ziewnęła głęboko i przeciągnęła się na ławie. Poczuła się bardzo znużona. Głowa kiwnęła się jej bezwładnie, jak podcięta upadła na pierś. Oprzytomiała odrazu i rozglądnęła się po kuchni za córką. W komorze kieckę ściąga — pomyślała.

Taka ciepła woda... nogi mniej boją...

Za oknem zechł wiatr. Śnieg tajał na dachu. W rynnie dzwoniło melodyjnie.

Przebudził ją chłód idący z dołu od nóg. Woda w cebrzyku była zupełnie zimna. W piecu dopalało się. Łatapa musiała dawno zgasnąć. W kuchni wisiał zaduch karbinn. Kot miauczał na oknie i wodził nosem po szybie. Pani Małgorzata wytarła rącznikiem nogi; wypuściła kota. Zeskoczył w śnieg i z sadartym ogonem pobiegł wzdłuż domu.

Joasia już spała. Oddychała ciężko i przewracała się na łóżku. Matka na palcach, wyciągniętą ręką odnajdując sprzęty, przeszła do izby.

## CZAJKA

### II

Tamci szli tak szybko, że gajowy nie mógł im nadążyć. Przeskakiwał rozmiękle zaspy podciekające wodą i kałuże na dnie, których był jeszcze łód. Na gościńcu zrównali się.

— Gdzie czekają dziś na nas? — zapytał.

— Jest tylko jeden, siedzi w karczynie tej z kraja — odparł Iwan.

— Noc jasna, niedobrze — zastanowił się Czajka. — Posterunki są we wsi?

— Są, ale to nie — odmrugnęli. — Iwan zna dobrze Niemców, pije z nimi codziennie w knajpie u Leona koło kościoła. Ta karczyna na brzegu wsi to tylko dla naszych. — Taka umowa... Rozumie pan? Tam Niemcy nie przychodzą.

— Niemcy to brycze chłopcy — chwalił Iwan. — Tylko trochę przeszkadzają w interesach. Próbowałem jednego z nich naciągnąć na spółkę, ale rozwrzeszczał się, że mnie zastrefił jak jeszcze coś podobnego powiem; straszny służbista.

Mięli las i szli teraz pod górę. Na szczycie mrugały czerwone okienka. Wieś przywarowała w śniegu jak kółka na lysinie, przy którym kolysały się pióropusze bezlistnych drzew. Na całym pagórku czerniała odkryte miedze i grudy. Z pół szedł mokry szleest strumyczeków, które ciekły brudami ku drodze. Rowem leciała woda.

Gajowy czuł jak jego przydziałowe buty przemakają. Obiecał sobie, że po powrocie do domu napije się gorącej herbaty lipowej i następnego dnia prze-

leży w łóżku. Dochodzili do pierwszych domów.

Czajka wyjął zegarek. — Wpół do dziewiątej; niedługo godzina policyjna — pomyślał. Ciepły wiatr nasycił mu ubranie aż do ciała. Zakaz chodzenia nocą wydał mu się nagle bardzo śmieszny. Podjął się zadań, które wykonać można tylko pociemku. Poczuł w sobie jakąś wiosenną lekkość. Przez chwilę wydawało mu się nawet, że jest niewidzialny. Znał las jak własną kieszeń... Trzeba krawędziami zębów poprowadzić, tam śnieg najszybciej topnieje. Woda do rana zmyje ślady. Szwabcy nie chodzą tamtędy.

...Przypomniał sobie jak ostatni raz przeprowadzał dwóch oficerów lotników. Gościł ich u siebie w gajówce. Przedstawili mu się dopiero na słowackiej granicy. Zsalutował, a oni wycelowali go po głębie i poszli szybko w dół po zboczu. Rano na drugi dzień znalazł przy przewracaniu gnoju mały nowiutki browning. W nocy uszył sobie kleszeń w baranym kołnierzu. Odtąd nosi go przy sobie. Parę dni potem dowiedział się, że Iwan z towarzyszami wie o jego sprawkach. W sam popielec zagrozili mu szantażem. Musiał zawrzeć spółkę, która mu spokoju nie daje.

Ukłuło go coś głęboko i skrzepło. Poprawił czapkę, nacisnął kołnierz i zmacał twardej kształt... — Jest... usmiechnął się w ciemności.

Parę razy już miał zamiar drapnąć za granicę. Najbardziej pragnął tego po rewizji w gajówce. Kiedy stał pod ścianą swojego domu twarzą do belek i słyszał za plecami szełkanie broni, pomyślał pierwszy raz z rozpaczą, że tyle razy mógł być wolny. Niemcy odjechali nagle, zostawiając go pod ścianą. Wtedy zaciął się i postanowił wytrwać.

...Joasia go jeszcze potrzebuje. Głupie to bardzo i młode. Świat ją ciągnie. Jak brali na roboty do Niemiec zgłosiła się pierwsza nikomu nie mówiąc. Wydało się zaraz. Trzeba było tłumaczyć Niemcom, że słaba, że nie przetrzyma. Nie chcieli wierzyć, bo dziewczucha jak rzepa, ale wetknęło się łapówkę i jakoś została.

— Panie Czajka, chce pan iść dalej? Spieszno panu na posterunek? Iwan stanął i śmiał się nieprzyjemnie. Był przed karczmą. Jakis stary gramofon chrząkał przedwojenny szlagier. Drzwi były uchylone. Weszli do wnętrza. Za bufetem stał szynkarz i przeglądał jakieś niemieckie ilustrowane pismo. Na twarzy miał melancholijny, zasłiniony uśmiech. Przy dwóch stolikach siedzieli chłopcy i popijali czystą. Szynkarz spojrzał sennie na wcho-

dzących. Pokazał palcem w kierunku kąta, gdzie wisiały kożuchy. Iwan zagarnął towarzyszy i poprowadził do stolika koło wieszaka.

Z cienia wysunął się jakiś człowiek w okularach. Miał duży mięsisty nos i zarośniętą twarz. Zdjął z głowy narciarke.

— Adwokat z Krakowa — mrknął Iwan do ucha gajowemu.

Adwokat podszedł jakby się chciał przedstawić, ale tamci otoczyli go zwarenie tuż przy ścianie. Usiadł na ławie i patrzył z przestraszeniem. Jeden z kolegów Iwana szturchnął go palcem.

— Dawaj pan forszę z góry, pięć „górali” dla każdego. Temu możesz pan nie dawać — pokazał na Czajkę. To jest ideowiec — nadstawia głowę za darmo. My przemycamy nie od parady — streścił rzeczowo.

Adwokat przeliczył ruchem oczu otaczających go inżynierów. Wyrwał nerwowo z kieszeni grubą, złotą portfel i otworzył go. Latającymi palcami wyluskał z przegródki pieniądze. Tymczasem z wnętrza portfela wypadł plik banknotów i rozsypany się po podłodze. Czajka schylił się i podniósł najbliższe leżące. Adwokat był już pod stołem i na czworakach zgarniał papiery. Wychylił głowę czerwoną z napięcia. Zalekłym spojrzeniem szukał ręki gajowego. Czajka oddał mu pieniądze.

— Dziękuję, bardzo dziękuję — płatał się w wyrażaniu wdzięczności.

— No licz pan tę forszę, bo czasu nie mamy — nastawali przemycnicy.

Adwokat zaszleścił papierkami i rozdzielał honorarium, za które kupował swoje życie. Rozstąpili się i pozwolili mu wstać. Wyjął z kąta rozdęty plecak i mocował się z pasami, niezdarnie nakładając je na barki.

Czajka dopiero teraz zauważył, że mieszczuch ma na nogach płytkie buty do których kleją się jasno długie spodnie.

— Mógł się pan cieplej ubrać — powiedział mu z bliska cicho, żeby tamci nie spostrzegli tego śmiesznego szczegółu.

Wspólnicy Iwana podeszli jeszcze do bufetu i kazali sobie podać wódki. Szynkarz postawił przed nimi trzy półlitrowki. Odkorkowali je uderzeniem dłoni i pili w grubych poszczerbionych szklankach. Iwan włożył nienapoczętą butelkę do kieszeni.

— A wy co, niepijacy? — odrzekł na siebie.

— Mam manierkę, napijemy się po drodze — odrzekł Czajka.

Zaczęło się wychodzenie hałaśliwe, zwyczajnie jak z karczmy. Ochrypli gramofon rozwrzeszczał się na drogę.

Dopiero gdy zamknęły drzwi — przychyliło. Noc zrobiła się wietrzna i chmury zupełnie zaciągnęły niebo. Było znacznie ciemniej.

...Dobrze — pomyślał Czajka i zaczął śpiewać coś pod nosem po pijacku.

Adwokat chwycił go za rękaw: — Co pan robi? — jęknął przestraszony. Zobaczył, że gajowy uśmiecha się, więc zrozumiał, że tak ma być. Wyjął z kieszeni torebkę.

— Może cukierka miętowego?

Czajka zdjął rękawicę i poomacku odnalazł zmieszony papierek. Podziękował.

— Niemców dużo we wsi? — zapytał cicho adwokat, oglądając się.

Czuć było, że siłą opanowuje strach. Przynął się bliżej gajowego i szeptał mu szybko do ucha.

— Ja tu przyjechałem z opaską. Oni kazali mi wyrzucić gwiazdę — wskazał na cienie przemytników. — Może nas zatrzymać jakaś patrol — wtedy rozumie pan... Nie mam gwiazdy, dokumenty moje także głęboko w plecaku. Przy sobie mam podrobione...

— Proszę mi powiedzieć, bardzo wyglądam na Żyda? — zapytał nagle i szukał w mroku twarzy gajowego.

Czajka zaprzeczył bez przekonania. — Więcej Żydów... Ja tak odrazu kombinowałem — pomyślał i uspakajał adwokata.

— Zaraz będziemy w lesie. Za wsią skręcimy w lewo. Potem już pójdzie gładko. Tam się już Niemcy nie kręcą.

— Bo to widzi pan — zaczął znowu adwokat — jakby nas zatrzymali — to koniec. Każą mi udowodnić aryjskość. W mieście brali zwykle do bramy, można się było wykupić, a tu na miejscu przyswiewać latarkami... przy świadkach...

Gdzieś z tyfu od kościoła zaturkotał motor. Luna reflektorów rozjarzyła wiechy drzew targane wichurą. Iwan i jego współnicy zatrzymali się.

— Skręcamy w lewo... i miedziami aż do lasu! Stamtąd pan poprowadzi, panie Czajka. My poczekamy koło pół jak zwykle. Pogadamy z Niemcami jakby trzeba było.

Adwokat pierwszy wskoczył do rowu i gramolił się po pochyłości wyrwając palcami mokrą darni. Za chwilę wszyscy gnali oslingią miedzą. Niedaleko czerniała ostroga lasu głęboko wrzynająca się między pagórki. Skręcił i biegł teraz na przelaj przeskakując przez bajora. Nogi płatały im się między brózdami i zjeżdżały co chwila w grzeskie kupy śniegu.

Wiatr się zmienił w wichurę, dął z ukosa, ciepły, niepowstrzymany.

— Halniak — pomyślał Czajka i zauważył, że spociał się porządnie. Prze-

wiało go do cina, koszula mu się kleiła.

Koło pierwszych drzew przystanęli. W lesie huczało jak w młynie. Górą przewalało się trzeszczenie.

Adwokat przypadł do gajowego. Dygotał z zimna i ze strachu. Tamci trzej stali obok i pociągali ogromnymi haustami z butelek. Dookoła była wielka łacha odsłoniętego pola. Śnieg leżał dopiero w lesie. Reszta rozmazywała się na czarnym kłębowisku zarośli.

Czajka widział wyraźnie tylko głowy pijących i czuł, że porozumiewają się. Ustyszał, jak odrzucili butelki. Jedna natrafiła na kamień i rozleciała się s brzękiem. Wichura grzmiała. Suche gałęzie klekotały, spadając gdzieś w ciemność.

Nagle Iwan przysunął się. Gajowy z bliska zobaczył nad sobą jego ogromne ramiona. Poczuł oddech śmierdzący wódką. Przemycnik trzymał ręce w kieszeniach.

— Cóż panie gajowy, podobno nasz „klient” to Żyd... I wy o tym wiedzieli. Czajka otrząsnął się. Głos Iwana bełkotał.

— Niemcy za to wieszają. Możemy zaraz powiedzieć. — Iwan pokazał ręką na zorzę reflektorów, która promieniowała nad pagórkami. Nachylił się do adwokata i dlonią przycisnął mu ramie.

A teraz panie mecenasie zanim się rozstaniemy resztę papierków poproszę...

Koło gajowego zakotłowały się cienie. Dwóch drabów chwyciło go pod ramiona. Szamotali się. Czajka zmętniałym od wysiłku wzrokiem zobaczył jak Iwan sięga powoli za cholewę. Adwokat wykrztusił jakiś chrapliwy dźwięk i osunął się na kolana. Napastnik zbliżył się, kopiąc go końcem buta.

— Pieniądze dawaj, bo zarżnę... Wszystko, zaszyte też.

Nagle klęczący zerwał się, zrzucił ze siebie płaszcz, marynarkę, z kieszeni wydarł portfel i cisnął go pod nogi przemycnika.

— Bierzcie, ale nie różnijcie. Bierzcie wszystko!... Puśćcie... puśćciecie!...

Adwokat krzyczał strasznie dławionym spazmami łęku. Iwan przypadł do niego.

— Nie rycz draniu, bo Niemcy usłyszą.

Głos nagle zechł. Ofiara stała spokojnie tylko w koszuli i w spodniach. Iwan schylił obmacywał porzuconą odzież. Wywracał kieszenie i prul nożem podszewki.

Czajka leżał pod drzewem zduszony, bezwładny. Przemycnicy siedzieli mu na plecach. Ręce miał wykręcone w tył, czapka zsunęła mu się na oczy.

— Chodź tu jeden, obszukaj jeszcze tego Żyda — usłyszał głos Iwana.

Naradzali się nad nim. Nagle poczuł, że jedną rękę ma wolną. Sięgnął do kołnierza. Rozpiął guzik... szarpnął. Zimny metal połaskotał go w dłoń.

— Precz!... — rzucił całym ciałem tak nagle, że przemycnik odskoczył.

Czajka posunął się w tył, przywarował i sapnął przez zęby.

— Stójcie, bo strzele.

— Strzelaj, strzelaj z kija — zachichotał Iwan.

Ozł, że podchodził ku niemu. Nie widział ich na ciemnej ścianie lasu, ale ziemia mlaskała tuż obok.

— Stać! — powtórzył wezwanie i cofał się w pole.

Dopadli go kilkoma skokami. Zobaczył nad głową płataninę rąk. Coś za błysło, chwytając lunę reflektorów za pagórka. Noże — pomyślał Czajka. Skoczył w tył, wyciągnął rękę i zaczął strzelać szybko, prawie naoslep. Błyski zasłoniły mu napastników. Coś przyniotło mu nogi. Zatoczył się i upadł. Na twarzy poczuł śliskie dotknięcie gliny. Niebo podarte wiatrem kręciło się nad nim jak karuzela. Podniósł się na łokciu i spojrzął wokół.

## NAGRODA im. WŁODZIMIERZA PIETRZAKA KOMUNIKAT II SKŁAD JURY NAGRODY

Komitet organizacyjny Nagrody im. Włodzimierza Pietrzaka zwrócił się do przedstawicieli świata kultury i nauki z prośbą o wzięcie udziału w pracach jury.

W rezultacie sąd konkursowy ukonstytuował się następująco:

ANTONI GOŁUBIEW — literat, autor „Bolesława Chrobrego”, krytyk, współpracownik „Tygodnika Powszechnego”.

DOMINIK HORODYNSKI — publicysta, redaktor „Dziś i Jutro”.

PAWEŁ JASIEŃCZYK — czołowy publicysta „Tygodnika Powszechnego”, laureat Nagrody im. Wł. Pietrzaka z roku ubiegłego.

KS. DR ZBIGNIEW KAMINSKI — proboszcz parafii Matki Boskiej Częstochowskiej w Warszawie.

HANNA MALEWSKA — literatka, autorka nagrodzonej w ubiegłym roku Nagrodą im. Wł. Pietrzaka powieści „Kamienie wołać będą”, laureatka wielu nagród literackich, autorka m. in. „Wiosny Greckiej”, „Żelaznej Korony”, „Żniwa na sierpie”, redaktorka „Znaku”.

DR STEFANIA SKWARCZYŃSKA — profesor U. Ł., autorka znakomych esesów literackich.

DR WŁADYSŁAW TATARKIEWICZ — profesor U. W., najwybitniejszy w Polsce historyk filozofii, autor wielu dzieł powszechnie znanych społeczeństwu polskiemu.

Pierwsze zebranie jury odbędzie się dnia 10 bm. w Krakowie.



# M A R C O W A N O C

(Dokończenie ze str. 3-ciej.)

W brudzie leżały nieruchomo dwa ciemne kształty, trochę dalej cofał się człowiek z rozpostartymi ramionami. Stąpił sztywno i charczał. Nagle zwinął się w kłębek i zastygł za niedzą.

Czajka zerwał się, cisnął rewolwer między ciała i pobiegł w stronę lasu. Na niskim niebie wygasły reflektory.

— Panie, gdzie pan jest!... hej!... — wołał stłumionym głosem.

Rozdusił butem butelkę po wódce i przystanął. Adwokat podniósł się z ziemi.

— Narzuc pan coś na siebie i wiemy — szarpnął go Czajka za rękę.

— Wiejemy? — powtórzył tamten obojętnie. Popatrzył na Czajkę zza okularów. Wiejemy?... A co oni powiedzą? — pokazał ręką na pola i zaśmiał się cicho.

— Jakubie ty mnie przyjmiesz!... Niemcy są dobrzy... dobrzy... Niemcy nie różną. Jakubie idę! — wrzasnął nagle nad uchem gajowego i ruszył kłusem w stronę wsi.

Na wzgórzu zamigotały latarki. Adwokat biegł ku światłu, ślizgając się na grudach. Wiatr wyrwał mu koszulę ze spodni i targał nią. Po połn niósł się jęklawy, prawie dziecienny śmiech.

### III

Joasia obudziła się dopiero o siódmej. Wskoczyła z łóżka i w koszuli stanęła przy oknie. Śniegu nie było. Deszcz brzęczał o szyby. Na podwórzu stały bajorki, których powierzchnia marszczyła się i kipiała. Droga do lasu

rwiała żółta rzeka. Wypłokane kamienie przewracając koziołki toczyły się koleinami. Góry gdzieś znikły, jakby wsiąkły w mokrą bibułę nieba. Słychać było szum ulewy i zachlustywanie się wiatru. Woda przeciekała przez nieszczelne okno — krople pukały po podłodze.

Dziewczyna starła kałużę i podstaawiła jakąś miskę.

...Ze też musiało się rozlać. Jak tu dostać się do wsi — Joasia markotna kręciła się po kuchni. Otworzyła szafę. — Trzeba najładniejszą suknię wziąć, ale jak ja w niej zajdę? — wszystko się zniszczy.

Zdjęła z wieszaka bluzkę w kwiatki i kraciastą spódnicę. Bluzkę rozwinęła w palcach i trzymała na wysokości ramion. Przeglądała się w lustrze, przechyliwszy na bok głowę.

Odłożyła odzież na krzesło i znowu powróciła do szafy. Szukała długo.

...Przecież po wiejsku się nie pokazuje. Iwan wyraźnie powiedział, że muszę się podobać. Będzie ze mną tańczył w wizytowym ubraniu — jakżebym wyglądała. U Leonów bywają różni ludzie. Zawsze jacyś panowie z miasta przyjadą.

Wyciągnęła białą suknię w paski. — Letnia, ale to nie. Sala koło kościoła ogrzana. Zabiorę ją w walizce, przed zabawą przewedzieję u Franki.

...Suknia od Antka (poco ja o tym myśle). On w poście i tak na potańcówce nie będzie — taki „święty”... Zresztą do Leonów nigdy nie zachodzi,

a choćby... Jeszcze trochę, a będę chodzić z Iwanem. Chłop jak dąb, zna ludzi, dobrze mu się powodzi (co za oficerki), pewno handluje. Antek umie tylko ładnie gadać. (Wąski w plecach) — fajtłapa. A że się włóczy za mną, kto go prosi?

— Joasia co ty robisz? — Pani Małgorzata wyszła z izby. Patrzyła po kuchni zaplatając warkocz.

Córka stała właśnie przed lustrem i przymierzała suknię, marszcząc ją lekko na uniesionej sztywno nodze. Odwróciła się do matki i powiedziała spokojnie:

— Mele są w szafie. Już kilka zabiłam. Muszę wszystko przegladnąć i wytrzeć.

— E, nie gadaj... Antos ci się przypomniał? Ładna sukienka, będziesz miała na majówkę jak znalazł... Ja tam moli nie widuję...

Joasia stropiona składała kiecki do szafy. Matka popatrzyła na deszcz.

— Zbieraj się, trzeba lecieć do wsi, spytać czy ojca gdzie nie widzieli.

— Leje bardzo. Może przenocował u siryja — spostrzegła Joasia.

— Chyba nie. Ma dzisiaj kontrolę z nadleśnictwa i już powinien być w domu. Trzeba wszystko przygotować.

— Tylko co patrzeć taty — zagadywała córka. — A, o! Idzie — pokazała nagle na okno.

Brzegiem przykopy biegł ktoś do gajówki. Zrównał się już z płotami i skręcił w obejście.

— Antek! — wyrwało się pani Małgorzacie. Coś utknęło jej w gardle... Może Jankowi...

Joasia zarzuciła kożuch na koszulę i pobiegła otwierać.

— Antos nie patrz, jestem nieubrana — czego tak wcześniej? — schowała się w kącie za drzwiami. ...Stało się co?

Jasnowłosy wyrostek sfliski od deszczu, stał w sieni i otrząpywał kurtkę. Układkiem zerknął za drzwi.

— Joaska jesteś bosy — ząbiezisz się. Ojciec w domu?

— Nie, wczoraj wieczór poszedł do wsi.

— Nie ma ojca?

Zbliżyła się pani Małgorzata.

— Nie ma...

Stali chwilę w napięciu. Antek był błądy i oddychał ciężko zmachany biegiem. Nagle zaczął mówić szybko, trochę przyciszonym głosem.

— W lesie trzy trupy... Niemcy trzymają posterunek na drodze... Pan Czajka nie o tym nie wie? — to w jego rewirze. Zabili ukraińskiego volksdeutschera Iwana i jego spółników. Koło trupów stoi żandarm i nie pozwala się zbliżyć. Kto by zresztą chodził patrzeć. Małe chłopaki się kręcą to ich odgania, ale i tak poznali zabitych. Mówił mi dziadek Szczepan, że policja z miasta przyjedzie. Ten austrijak Bielski się wygadał. Dzisiaj w nocy jakiegoś Żyda w bielnie zastrzelili pod kościołem. Podobno był z tamtymi. Bielski chodzi po wsi z „granatowymi” i szukają broni. Pokazywał dziadkowi rewolwer, który znalazł na polu. Powiedział, że „polski” uciekł do lasu w stronę granicy.

Tamtym draniom dawno się już należało, ale Niemcy będą się mścić.

— Joaska, skryjecie mnie choćby w stodole. Tu do gajówki nikt nie przyjdzie. Była już dawniej rewizja u was i nie nie znaleźli.

Pani Małgorzata otworzyła usta i krztusiła się jakimś słowem. Joasia czuła, że się jej mięśnie naprężają i gniecie ją zimno ciężkie, jak bryła lodu. Stała bezwładna i nie bardzo przytomna.

— A wiecie, że Franka Leonówna chciała się otruć kwasem. Spodziewa się bachora z tym Iwanem. Teraz on kłap... — Co ci Joaska?

Policzki dziewczyny drgały, nie mogła przyjść do siebie.

— Ojciec... ojciec — wykrztusiła — ojciec miał broń. Ja wiedziałam. Miał zaszytą w kożuchu. Nikomu nie mówiłam — bałam się... Ci trzej byli wczoraj u nas, poszli z tatą... Iwan był także...

Matka podniosła dłoń do twarzy. Niebieskie oczy Antka rozszerzyły się. Patrzyły bez zmużenia. Nagle zrozumiał...

Potrząsnął panią Małgorzatę.

— Proszę pani, tu zaraz może być rewizja — musimy uciekać.

Wiatr pchnął niedomknięte drzwi i szamotał nimi.

— Poprowadzę lasami do miasteczka. Ukryjemy się u mojej ciotki — dławili się przeciągiem Antek.

Gospodyni zakręciła się i wybiegła do izby. Za chwilę na kuchnię wylaływa odzież, poduszki, bielizna. Na podłodze rosła szybko sterta łachów. Joasia grzebiła w szafie, przewracała w sukniach i rzucała wszystko bezładnie na rozpostarty koc.

— Antos, daj krowom buraków na parę dni. Klucze są tam — pokazała na półkę. — Kłódka się zacina, drzwi trzeba pchnąć — krzyknęła gdy był już w sieni. Zrzuciła koszulę, wdziewała co pod ręką.

Matka wpadła do kuchni i mocowała się z zamkiem u skrzyni.

— Joasia, twoja wyprawa... zabieraj sobie — rzucał ochlapy zdań, wtykając za pazuchę małe czarne pudełko.

Kiedy Antek nadbiegł z obory, obie kobiety objuczone tłumokami, biegły po domu rotrzącając sprząty.

— Więcej nie uniesiemy — tłomaczyła się pani Małgorzata.

Zamknęli drzwi na klucz. Przed domem mocowali się z pierwszym oddechem wichury. Z głowami w ramionach, chlapiąc po kałużach, zanurzyli się w las. Trzeba było iść naprzelaj przez młodniki. Potrącone gałęzie bluzgały wodą. Ziemia wsysała nogi — buty przemakały.

— Antos, jak myślisz co z ojcem? Chyba go Niemcy nie chwycą — prawda?

Joasia czepiła się ramienia chłopca. Wziął od niej tłumok i zarzucił sobie na plecy.

— Może już za granicą, przedzierna się na Węgry — odpowiedział.

— Ej, żeby... To Iwan nie żyje — dodała i jakoś dziwnie dzieliła wyrazy.

— Co ci do głowy przyszło? Zabity łajdak i po nim.

— Franki mi żal, dobra dziewczyna była w szkole...

Zamilkli. Schodzili do parowu po stromym zboczu. Od drzewa do drzewa niosła ich gołoledź. Z ugią czepiali się gałęzi i szukali resztek śniegu, żeby silniej oprzeć nogi. Na dole zatrzymali się na suchszym i odsapnęli.

Pani Małgorzata przykucała, tobił oparta na pniaku.

— Widzicie, już nie jestem gospodynią. Siedzimy tu w lesie jak bydło rozgonione. Ej Janek... Janek... Wstęchnęła i popłakała się.

Od szosy przylatywało nerwowe tarcotanie samochodów. Ruch był niedoziemny. Po lesie tłukło się echo, jak w cembrowinie. Antek przynagiadł do drogi.

Ulewa trochę przycichła. Na gwałtach świerków błyskało czesera jaśniejsze niebo. Szparka leśna, w którą weszli, była piaszczysta i bezśnieżna. Drzewa stały ciasno więc posuwali się gęsiego.

Joasia szła za Antkiem. Chłopak słyszał jak krokami łamie gałzki. Czuł jej zmeccanie. Chciał się odwrócić, przystanąć, ale nie było na to czasu. Poczł jakiś straszny nieład we wszystkim co się stało. Zapragnął nagle jakiegoś wyznania, zapewnienia. Wybrał pierwszą lepszą natrętą myśl i wyrzucił poza siebie.

— Ty byś nigdy taka nie była jak Franka Leonówna, prawda?

Odpowiedziała mu cisza, tylko pani Małgorzata postękiwała i lamentowała na końcu.

— Joasia? — zaniepokoił się.

— Nigdy — powiedziała szybko, jakby na oślep. Zaraz dodała, że musi wrócić za kilka dni do gajówki, żeby krów dogładnąć.

Gospodarna i odważna — pomyślał Antek. Zrobiło mu się przykro, że porównał tę ładacznicę Frankę z Joasią. — Ja zawsze ci wierzę Joaska, tylko tak głupio mi się wyrwało...

Poczł jakby mu ubył ciężaru i popatrzył z uśmiechem w niebieską szczylinę, która im się otwarka nad głowami. Dzień przychodził pogodny, pachniało igliwem. Za rozrzedzonym lasem czerwieniał dachy miasteczka.

Andrzej Łepkowski

## ZEZOWATE POZNANIE

(Dokończenie ze str. 1-szej)

swój rozwój i rozmaite szczególne własności. Aby więc poznanie było prawdziwe, to znaczy zgodne z rzeczywistością, musi ono uwzględnić w równej mierze wiadomości, jakie nam dają zmysły i dane umysłowe. Musi być równowagą między jednym i drugim rodzajem poznania. Wzrok poznawczy człowieka, tak samo jak fizyczny, jest stereoskopowy. Ma dwa organy, z których każdy ogląda inną stronę rzeczy i dopiero połączenie obu daje prawdziwy obraz rzeczy.

Są jednak zezowaci, którzy patrzą głównie jednym okiem, drugie zaś puszczają samopas, byle gdzie, nie przywiązując dużej wagi do jego danych. Jest ich nawet większość między myślicielami. Dzieli się oni na dwa wielkie obozy. Do jednego należą wysuszeni, stwardniałi mózgowcy, ślęczący nad abstrakcyjnymi stosunkami i formułkami, które je wyrażają, oderwani od konkretności. Do drugiego zaś „empiryści”, którzy się liczą tylko z faktami i zjawiskami, a więc przejawami działalności rzeczy na zewnątrz. Tkwią oni w życiu, ale pomijają samą przyczynę jego, podmiot. Stąd rzeczy tracą w ich poznaniu granicę, zaciera się ich kontury, ginie indywidualność, a z nią prawo tożsamości, niesprzeczności i wyłączonego środka — kardynalne prawa logiki. Tacy myśliciele tworzą systemy monistyczne — panteizm, determinizm, ewolucjonizm, socjologizm. Świat staje się w ich pojęciu polem niustannych przemian, zjawisk, zdarzeń i nic w nim nie ma stałego, statycznego.

Oba poglądy są prawdziwe tylko częściowo, a więc błędne i szkodliwe w praktyce. Ciekawa byłaby charakterystyka bardziej szczegółowa tych dwóch obozów zezowatych myślicieli, ale nie jest to celem niniejszego artykułu. Mimo-

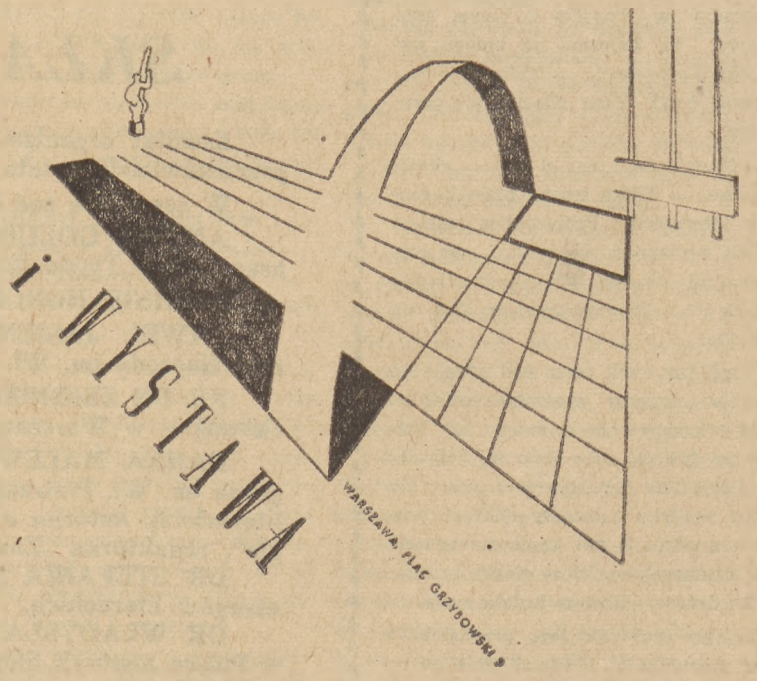
chodem tylko warto stwierdzić tu ciekawe zjawisko, że najzdrowiej, nieświadomie, ale naturalnie patrzą na świat ludzie prości. Liczą się oni ze zmiennością rzeczy, ale również uznają ich stałość. Tym, co pańczy wzrok poznawczy, jest niewłaściwe, nierównoważone wykształcenie, które pielęgnuje jedną, albo drugą krańcowość. Ale to inny temat.

Tak głęboko musieliśmy sięgnąć, żeby wykryć istotny, podstawowy błąd pytań, przytoczonych na wstępie. Są to pytania, jakie stawia myśl zezowata, która nie widzi i nie chce uznać istoty rzeczy, jej wewnętrznych stosunków i zewnętrznego kształtu, które stanowią o jej odrębności i stałości, oraz samodzielności. Widzi ona tylko same zjawiska, czy to historyczne, czy przyrodnicze, polityczne, czy ekonomiczne, ale nie widzi ich źródeł i konsekwencji, stąd widzi wszędzie sprzeczność, a nawet czyni z niej główne prawo logiki. Oszłołomiony powodzą faktów i zjawisk, w której się z lubością zanurza „empiryk”, nie chce i nie może dostrzec ich przyczyn samych rzeczy, które są stałe, te same, wieczne. Jak materia jest postacią energii, tak istota rzeczy jest zbiornikiem powierzchniowej zmienności i życia natury.

Poznanie zmysłowe należy koniecznie dopełniać poznaniem umysłowym, jeżeli ma ono być prawdziwe. Obserwatorzy Kościoła powinni próbować zestawiać fakty z życia poszczególnych okresów historii społeczeństw katolickich z całościowym kształtem nauczania katolickiego. Ale tego im się nie chce uczynić. Dlatego stawiają często kompromitujące ich pytania. Tak więc źródło każdego błędu leży zawsze w podstawach filozoficznych, głównie w błędach poznania.

Zygmunt Jakimiak

## WNETRZE





# Na ekranach Paryża

George Sadoul — znany francuski krytyk i publicysta, jeden z redaktorów „La revue de Cinema” i „Revue Internationale de Filmologie”, autor wielu dzieł filmowych, słowem specjalista w tej dziedzinie jak niegdys Boy od teatru — oceniając ubiegły sezon filmowy w Paryżu — twierdzi, że rozpoczął się pod dobrymi auspiciami dla kinematografii francuskiej. Nie mniej ciekawe są wypowiedzi tego autora o filmowej produkcji amerykańskiej, angielskiej, włoskiej i sowieckiej.

Mysle, że ze zdaniem wybitnego autorytetu francuskiego chętnie zapozna się wielu „kinomanów” polskich, tym bardziej, że filmy te, chociaż nie wszystkie znane są i u nas. Według Sadoula — Rene Clair swym filmem „Milczenie jest złotem” spełnił nadzieje, jakie oddawał pokładano w realizatorze „Antraktu”, „Kapelusza słomkowego”, „Milion”, stając się wraz z Jean Renoirem i Jacques Feyderem twórcą nowej szkoły francuskiej.

Jacques Feyder — twórca klasycznej „Atlantydy” i „Zwycięzcy kobiety” (La cerise heroique) zmarł wiosną w Szwajcarii, nie zrealizowałszy — po oświebieniu Francji — ani jednego z wielkich filmów, które planował. Na domiar złego tacy reżyserzy, jak Marcel Carne, Julien Duvivier, Jean Renoir, Jean Gremillon — byli w tym sezonie bezrobotni lub poza granicami Francji.

Najlepszym pod każdym względem filmem sezonu był „Antoni i Antonina” Jacquesa Beckera. Pospolita historia zgubionego i odnalezionego losu loteryjnego stała się pretekstem do pokazania życia przeciętnego małżeństwa. Nie ma w niej mistrzowskiej konstrukcji dramatycznej, ani błyskotliwego dialogu — po prostu codzienne życie, codzienne rozmowy. Realizator uderzył we właściwy ton. O ile by zbroczył z tej linii, cel byłby chyboty. Jednak osiągnął go stwarzając dwa „żywe typy”, które nie nie zawdzięczają R. Clair i J. Renoir stawiając ich dalszą kontynuację.

Film ten cechuje optymizm. Jest to tym bardziej znamienne, że film francuski przesładuje „czarna seria”, zapoczątkowana niegdys przez „Ludzie za mgłą” i „Pepe le Moco”. Dawne, śmiałe koncepcje artystyczne zakończyły się szablonem, którego nie pozbawiony jest „Dede d'Anvers” Yves Allegret'a, dzieło mocne w wyrazie, inteligentnie skonstruowane, wyreżyserowane z dużym nerwem, pasjonujące, które oklepamy tematem zbanalizował.

W filmie „Kawiarnia pod zegarem” (Le Cafe du Cadran) Gehreta, świetny scenariusz Pierre Bernard'a opowiada o codziennym życiu paryskiej kawiarenki i dzielnicy Opéry. Film bezpretensjonalny, potraktowany z rzadką prostotą i umiarem.

Reżyserowi Autant — Lara i adaptatorom Pierre Bost i Jean Aurenche udało się — bez zniekształcenia koncepcji autora — przerobić na film słynną powieść Radiguet'a „Diable au corps”. Pomara idylla dwojga młodych w końcowym stadium ubiegłej

wojny, została odtworzona po mistrzowsku przez Gerard Philippe'a i Micheline Presle — pary najbardziej utalentowanej aktorów filmowych ostatniego dziesięciolecia. Dramat tych dwojga ludzi nie ma pretensji społecznych. Mimo kilku wybaczalnych usterek film ten odniósł pełny sukces.

Film „Kości rzucone” (Les jeux sont faits) wskutek wzbudzonego niesmak tematu Sartre'a — źle się przyjęły znakomitemu reżyserowi Jean Delannoy (Symfonia pastoralna). Toteż poniósł kompletną porażkę.

Mniejszym białym była realizacja filmu Rene Clement „Przekleci” (Les maudits), w którym wszakże żołnierze nazistów i „kollabo” był, mało prawdopodobni i rzeczywiści. Film ten epicznie nie dorównując filmowi „Bitwa o szynę” — miał jednak dużo dobrych momentów, jak np. duszną atmosferę łodzi podwodnej, ciasnotę schronów, charakterystykę zewnętrznych postaci.

Ten niewątpliwie chyboty film nie jest zupełnie pozbawiony wartości i należy spodziewać się, że Rene Clement pokaże nam jeszcze swój lwi pazur.

„Ulica ziołników” (Quai d'Orfèvres) reżyserii H. G. Clouzot — jest adaptacją brukowej powieści kryminalnej, której konflikty i ich rozwiązania graniczą często z dziecinna naiwnością. Konflikty „czarnych” i „jasnych” charakterów wytworzą dziwnie sztuczną atmosferę moralności. Mimo to jednak realizacja filmowa zasługuje na pełne uznanie. Plastyczność, gra aktorska, umiejtność, z jaką została odtworzona ciężka atmosfera policyjna lub życie paryskich cafe — jakby żywcem przeniesiona z obrazów mistrzów impresjonizmu — wywołuje głębokie wrażenie wśród publiczności.

Ciekawym pomysłem był film „Paryż 1900”, zmontowany z ówczesnych aktualności przez Nicolas de Vedres. Dzięki świetnemu montażowi odżył na ekranie cały ówczesny Paryż.

Swoje mniejsze czy większe sukcesy film francuski zawdzięcza przede wszystkim dominującemu w nim umiłowaniu prawdy życiowej. Szkoła francuska cechuje od lat kilkunastu specyficzny realizm. Ten wysiłek artystyczny jest jednak kosztowny i aby mógł być podtrzymany potrzebuje stalego poparcia materialnego i kiedy filmy francuskie święcą triumfy — przemysł filmowy przeżywa ciężki kryzys. Studia się zamykają, połowa wytwórni nie pracuje, zagraniczne filmy zalewają francuskie ekrany.

Trudności te wzbudziły opinię publiczną. Powstał komitet obrony filmu francuskiego — poruszył Parlament. Umowa podpisana w roku 1916 w Waszyngtonie przez Bluma z rządem Byrnes'a została zerwana.

Umęczony film francuski ożywiła nadzieja. Jednak kryzys zimowy stanął na przeszkodzie do osiągnięcia sukcesów na tegorocznych festiwalach.

Również i Hollywood przeżywa swój swoisty kryzys. Mimo niezaprzeczonego bogactwa środków — panuje głód tematów. „Motion Pictures Herald” pisze dosłownie: „Nasze scenariusze wykrobują dno pustej beczki”. Kryzys ten jest spowodowany przede wszystkim licznymi zakazami „lig moralności”, organizacji politycznych, komisji dla zwalczania działalności antyamerykańskiej i niezliczonych cenzur stanowych.

Mimo to ze Stanów Zjednoczonych przybyły trzy ciekawe filmy: „Monsieur Verdoux”, Chaplin'a, „Najlepsze lata naszego życia” Wylera i „Crossfire” Dmytryka.

Film „Najpiękniejsze lata naszego życia” nobilituje wielki talent Wylera — nb. Francuza z Mulhouzy. Tematem są zdemobilizowani żołnierze, wiodący ciężkie życie bezrobotnych, gdy propaganda nawołuje do nowej wojny. Film pełen prawdy i realizmu, został jednak miejscami zbyt szczegółowo rozpracowany, co do pewnego stopnia zaciemnia chwilami jego linię społeczną.

„Crossfire” — poświęcony zagadnieniu antysemityzmu — odniósł wielki sukces w USA, podczas gdy jego twórca Dmytryka represjami politycznymi zmuszono do opuszczenia Ameryki, Dmytryk pracuje obecnie w filmie angielskim.

Hollywood również usiłował naśladować nową szkołę włoską — filmu z życia (bez makiet) w plenerach — dekoracji a la aktualności. Jednak płycizna artystyczna zemściła się. Na-

krecono innymi środkami technicznymi także same, jak dawniej typowe hollywoodzkie prymitywy. Nie wystarczy bowiem inna maszyna — należy studiować i to gruntownie.

Spośród reżyserów cudzoziemców osiadłych w Hollywood, naiwny i polspolity Ernst Lubitsch umarł wiosną tego roku w pełnej chwały.

Fritz Lang opracowuje nędzne „zamówiówki”. Ani „Czerwona ulica” melodramatyczna — przeróbka „La Chienne”, ani „Szyte i kapa”, ekstrawagancka historyjka „szpiegowkoatomowa”, ani „Sinobrody” w sosie psychoanalitycznym — nie są godne tego roku w pełnej chwały.

Jean Renoir w „Pamiętniku pokojówki” usiłował odnaleźć pikanterię powieści Mirabeau i urok obrazów swego ojca. Jednak cenzura i niedoświadczenie kostiumów hollywoodzkich nie pozwoliły mu na osiągnięcie tego celu.

Jego „Kobieta na plaży” czy „Tragiczne jezioro” nie są więcej wartę. Jedynie powrót jego do Europy może uratować dla nas tego niewątpliwie wielkiego realizatora.

Nieprowadzenie tych wielkich filmów amerykańskich jest tym bardziej znamienne, że reszta produkcji amerykańskiej stoi poniżej średniego poziomu artystycznego. Produkcja Anglii przejęła w swoje ręce szereg możliwości, które wylknęły się Hollywoodowi.

London ukazuje w kosztownych reahazjach smak artystyczny i kulturę rzadko spotykane w Ameryce „Cezar i Kleopatra” był wyjątkiem nie regułą. Technicy brytyjscy osiągnęli w technię — kolorze poziom dotąd nie spotykany. Przykładem może służyć ośniewający Henryk V Laurence Oliviera, w którym wszystkie możliwości techniczne filmu zostały z całym piętyzmem oddane na usługi Szekspira — dzięki czemu scena czy ujęcie mogło łatwo przejść z formatu ciasnej miniatury Fougueta do rozmachu i przestrzeni scen batalistycznych Paolo Ucello.

„Sprawa życia i śmierci” Powella i Pressburgera — grzeszy nieco sofistycznym ujęciem tematu, umiłowaniem często raczej naiwnie.

„Wielkie nadzieje” Dawida Lean — dalekie są od doskonałości „Błyskawicznego pojedynku” i z chwilą oddalenia się od świata dziennego trąca cały swój urok.

„Niepotrzebni mogą odejść” Carola Reed — wskutek liczących wpływów trąca jednolitość, mimo sily i prawdy pewnych epizodów.

Film włoski operujący bardzo ograniczonymi środkami technicznymi i finansowymi, zademonstrował swą force explosive. Jego arcydziełem stała się „Paiza” Rosellini'ego, gdzie skrzyżowały się wpływy filmu włoskiego, dawnej szkoły radzieckiej i francuskiej z przed 1940 r. Z nauk tych wyciągnięto korzyści i niejednokrotnie przewyższono mistrzów.

Główną cechą neorealizmu włoskiego jest zanurzenie w życiu społecznym, nie unikając okropności czy zgrozżenia. Takim jest w I części „Bandyta” Alberta Latuada, „Słońce wszędzie jutro” Vergano (w Paryżu był wyświetlany na zamkniętych projekcjach), Słynna „Sciusia”, gdzie de Sica przepięknie przeplata prawdę życia z poezją.

Różnorodność tych dzieł zdawać by się mogło — podobnych do siebie jest możliwa dzięki formie opisowej stosowanej przez szkołę włoską, często mniej realistyczna, niż to się wydaje, a której powodzenie może doprowadzić do zupełnej komercjalizacji filmu włoskiego czego dowiódł festiwal w Wenecji w 1948 r. Po dwuletnich oszalamiających sukcesach — film włoski stanął na rozdrożu zastanawiając się nad wyborem właściwej drogi.

Produkcja ZSRR nie była w tym sezonie reprezentowana przez swe najlepsze filie, mimo to mogliśmy oglądać wspaniałe „Wielki Przełom”, „Admirala Nachimowa” — zwarty i mocny film o świetnym montażu, „Dzieciństwo Gorkiego” i „Samotny biały żagiel” — jako jeden z najlepszych.

Konkretyzując — ubiegły sezon filmowy na ekranach Paryża był bogaty i bardzo urozmaicony. Charakteryzowała go mnogość szkół narodowych, coraz dalej posunięte różniczkowanie rodzajów filmu, wreszcie stworzenie nowych form. Najlepszy dowód, że film jest jedną z bardziej żywotnych, a pod względem artystycznych możliwości jeszcze najmniej wyeksploatowanych dziedzin sztuki.

Józef Majkut

## FILM

# RENEGAT

Autorzy czy autor programów Filmu Polskiego są wytrwali. Na zarzuty wysuwane przez recenzentów odpowiadają kamienną obojętnością. Dla tego też pytania, które tu mam zamiar wypisać, są retoryczne i nie mam nadziei aby ukryty anonimowy autor elaboratu o „Renegacie” zechciał udzielić odpowiedzi. Po pierwsze: czy program został napisany po obejrzeniu filmu? Po drugie: dla kogo jest przeznaczony? Może przez to że budzi sprzeciw ma prowokować widza do wyrobienia własnego zdania?

„Renegat” jest filmem słusznym i łatwym. Wydaje się, że nie budzi wątpliwości swoją wymową społeczną. Nie często producenci zachodnio-europejscy wydają filmy tak uczciwe. Wymowna jest sugestywnie ujęta niesprawiedliwość społeczna, wyraźnie pokazani są ci, którzy za taką strukturę społeczną ponoszą odpowiedzialność.

Tematu naczelnego dostarczyła kariera polityczna Mac Donalda, premiera pierwszego rządu labourystowskiego w Anglii. Hamer Radshaw, dziecko robotnicze, londyńskiej rodziny, w dzieciństwie słucha opowiadań dziadka o masakrze pod Peterloo, gdzie żołnierze zaatakowali pochod robotników żądających chleba i wolności, słucha mówców ulicznych powtarzających te same słowa i wskazujących na tych, którzy utrzymują formy wyzysku. Żyjąc w nędzy wynosi z dzieciństwa ideę walki o lepsze zorganizowanie świata. Pracując później w księgarni zyskuje wiedzę teoretyczną, czyta klasyków marksizmu i wcześniej zaczyna karierę polityczną. Etapy tej kariery są równocześnie etapami jego zdrady.

Oto w programie informują nas, że „Film angielskiej produkcji stara się usprawiedliwić jego (Radshawa) odstęstwo od ideałów walki o wolność proletariatu. Tłumaczy renegata tym, że sława i rozgłos zdobyte w tej walce zobowiązują i zmuszają do zmiany stanowiska”. W takiej interpretacji Radshaw byłby przedstawiony jako ofiara jakichś rzekomych prawd historycznych, musiałby być bohaterem tragicznym, jego konflikty musiałby budzić współczucie, a i dobór faktów wyrażających ewolucję jego zdrady miałby inną aniżeli pokazane w filmie wymowę. Chyba, że przyjmujemy tezę, że wbrew intencjom realizatorów film wyraża jakąś odwrotną stronę problemów. Paradoxałność tej tezy łatwo wykażać, analizując prostą i logiczną strukturę filmu. Ekspresja osobistego losu Radshawa jest wzmocniona i jednocześnie oceniona nie tylko przez dobór faktów, ale i przez zreczenie i umiejętnie wprowadzony paralelizm jego losów z dziejami innych ludzi. Dlatego uzasadnione w kompozycji filmu jest wprowadzenie postaci Hannawaya. I on i Radshaw, dzieci robotniczych rodzin, przechodzą z nizin społecznych do klasy posiadającej. Hannaway pnie się wszelkimi środkami od małych do większych oszustw, Radshaw startuje patetycznie, ale i w okresie jego „jednolitości wewnętrznej” pokazane są skazy jego postępowania (epizod pierwszej rozmowy Reyerson — Radshaw, kiedy młody entuzjasta czuje się zawiedziony, że nie o jego kandydaturze myśli partia; zarozumiałość). W drugim etapie swego życia u szczytu kariery osobistej spotyka Hannawaya i on odtał a nie Reyerson i jemu podobni jest „towarzyszem” ministra. Momentem kulminacyjnym staje się przemówienie uszlachconego labourysty. Kiedy mówi o drodze przebytej z przedmieścia Londynu do Izby Lordów, dostrzega Hannawaya, który z tego samego przedmieścia innymi pozornie metodami przebył tę samą drogę. Wzmocnia ten akcent paralelizm przemowień. Radshaw w początkach swojej działalności zaczyna mówić do robotników słowami „przyjaciele” (polski przekład „towarzysze”). Mówiąc w gronie tych, z którymi kiedyś walczył, swoją lordowską mowę rozpoczyna tak samo: „przyjaciele”. To „przyjaciele” w stosunku do dawnych wrogów piętnuje jego odstęstwo.

Podobna, ale wręcz odwrotną w ekspresji rolę spełnia sylwetka Reyersona. W pierwszej części filmu Reyerson jest w cieniu, sympatia widza ma być raczej po stronie Radshawa. Mimo to epizod przedwyborczy akcentuje, że Reyerson jest ściślej związany z robotnikami, Radshaw wtedy jest raczej sympatykiem partii. Drugi moment konfrontacji postaw obu dzia-

łaczy wyjaśnia już ich stosunek do wspólnej pozornie walki. Radshaw wyjeżdża z pięknie urządzonego mieszkania w Londynie, wezwany przez Reyersona, aby przemówić do strajkujących wytrwale robotników. Epizod walijski jest punktem zwrotnym w jego działalności i punktem zwrotnym w stosunku widza do Radshawa. Od tego momentu przyszyły min. przestaje być bohaterem pozytywnym, jego następująca przy końcu filmu kłeska osobista nie budzi współczucia. Sympatia widza jest kierowana przez cały czas w stronę robotników i ich przywódcy Reyersona. Można by powiedzieć, że stosunek widza jest analogiczny do stosunku Reyersona wobec Radshawa.

Strajk walijski porównuje obu działaczy: Reyersona, którego obchodzi los robotników, który czuje i ponosi odpowiedzialność za wydarzenia, i Radshawa, dla którego strajk jest okazją do demagogicznego wystąpienia, momentem jego własnej kariery. Reyerson jest bohaterem pozytywnym przeciwstawionym Radshawowi, pozwalającym ocenić postępowanie renegata. Wprowadzenie tego przeciwstawienia, a także rozwijanie dziejów Ann i jej ciotki, nie pozwalają na wyciągnięcie wniosków, że walka partyjna jest (jak chce autor programu) środkiem kariery osobistej i to prawo decydowało o postawie renegata. Film wyraźnie oskarża Radshawa o to, że dla niego ta walka, sława, którą zdobył, stała się drogą osobistych sukcesów. Ocenia jego zachowanie porównanie z działalnością jego żony, zreczenie wyraża przejęcie dygnitarza na barykadę wrogów kłamrą słów: mówią, że jesteśmy agitatorami — jesteśmy nimi; i w parę lat później o sufrażystkach: jesteście agitatorkami. Scena policzku w parlamencie wykreśla już nie tylko negatywny stosunek do człowieka, który zdradza ideały, ale jakoś najbardziej osobiste i zwyczajnie dyskredytuje charakter Radshawa. U szczytu kariery minister spraw wewnętrznych obrzucony szczytami opowiada starszemu ciotce o swoich sukcesach. Wydaje się wtedy, że wiek zniedołężniałej sufrażystki przytępił jej krytycyzm. Ale wkomponowana potem scena marszu głodowego pokazuje natychmiast, że zdrada ministra jest jego prywatnym przymiotem, że wiek starszki, jej przymusowa izolacja od świata walczącego o sprawiedliwość nie przeszkadza w zachowaniu poczucia solidarności z wyzyskiwanymi. Ten epizod jest znowu kompozycyjnym etapem oceny. Jasne staje się dla każdego normalnie reagującego widza, że kluczem zdrady Radshawa nie jest jakaś konieczność, wynikająca z jego losu, ale jego postawa, charakter. Zdrada jest i pozostaje w ramach filmu problemem psychologicznym, przyczyną jej leżą w człowieku, który zdradza, a nie w jakimś procesie awansu, który zmusza. „Dobitną wymowę uciwowa ma motyw szabli. Ten symbol tradycji walki kształtuje wyobraźnię dziecka, staje się u młodego działacza politycznego elementem, który wyraża w jego przemówieniach ciągłość walki o sprawiedliwość, w czasie mowy do strajkujących robotników jest rekwizytem, który elegancko ubrany pan nosi w eleganckim futerale, potem w lukurowym londyńskim domu zostaje ukryty w luksusowej pochwie i wreszcie w ostatnim epizodzie nowo-kreowany lord nie może zardzewiałej, dawno nie używanej szabli wydobyc z kosztownego ukrycia. Film kończy się obrazem szabli rzuconej na dywan.

Sądzę, że każdy film postępowy i uczciwy, który powstaje mimo trudności w państwach kapitalistycznych, jest wart uwagi i rzetelnej oceny. Nie potrzebuję pisać o znaczeniu takich osiągnięć na zachodzie Europy. Tym większą pomyłką jest fałszywa, szablonowa interpretacja tego w istocie wyjątkowego w produkcji angielskiej filmu. Zastrzeżenia są raczej natury formalnej. O ile to, co nazwała bym akcją polityczną, jest rozwiązane bardzo sugestywnie, szczególnie sceny zbiorowe, ekspresja głosu i wymowa symbolów (płynący strumień w epizodzie strajku), o tyle uczciwość perypetie Radshawa w drugiej części filmu są chwilami mdłe i zafałszowane. Szczególnie rażący jest fragment szwajcarski, przegadany i nie wnoszący nic do akcji. Niewłaściwy wydaje się także wybór Rosamund John w roli Ann.

Leszcz.

Stanisław Podlewski

„Przemarsz  
przez Piekło”

Dni zagłady Staromiejskiej  
dzielnicy w Warszawie

2 t. — 1.300 zł.

Wydawnictwo:

MIECZYSLAW  
FUKSIEWICZ i S - ka

Warszawa, Nowogrodzka 37

do nabycia

we wszystkich księgarniach



# ETA P

# wkładka miesięczna

## OD „KATECHUMENOW” (Odpowiedź na „Kantatę Anielską” Jerzego Zawieyskiego)

Jest nas kilku, niedoświadczonych i młodych wiekiem oraz myślą ludzi, nieraz zbyt pewnych siebie, czasem tragicznie świadomych trudności ideowego poszukiwania. A takich jak my jest może więcej.

Jerzy Andrzejewski, do którego skierowana była „Kantata”, nie odpisał. Mimo, że należymy do tego samego obozu światopoglądowego, piszemy tylko w imieniu własnym — kilku osób, redagujących wspólnie tę wypowiedź. Nasze wyznanie do tych, co najwyżej tych, do których, podobnie jak do nas przemówiła „Kantata”, do których zwracał się Zawieyski pisząc o „bardzo liczny krąg przyjaciół, którym te same sprawy są bliskie”.

Minął rok od ukazania się w Tygodniku Powszechnym „Kantaty Anielskiej”. Ale abyśmy należycie zrozumieć mogli „Kantatę” potrzeba było czasu. Do „Kantaty” trzeba dorósł. Dziś chcemy koniecznie odpowiedzieć na gorące, cenne swą żarliwością słowa Jerzego Zawieyskiego. Wymagają one z naszej strony szczerzego oddźwięku. Nie zawsze łatwo zdobyć się na szczerść. Na długi gościnny list zapraszający do otwartej dyskusji odpowiadamy kilkoma prostymi zdaniem;

za które jednak czujemy się odpowiedzialni.

Poruszone problemy nie są nam obce, choć może trudno by nam było porozumieć się niezgodnioną terminologią i odmiennymi wyobrażeniami. Z pewnością jednak będziemy pracować nad ich rozwiązaniem — może bardzo różnym dla każdego z nas — dążąc usilnie do obiektywnego poznania otaczającej nas, empirycznie osiągalnej rzeczy wistosci. Wydaje nam się, że nie wielu katolików dorosło do „Kantaty”, jak i niewielu marksistów chciało ją zrozumieć.

My nie jesteśmy katolikami. Legenda szopki betleemskiej jest dla nas tylko takim samym mitem, jak inne wyobrażeniowe elementy niechrześcijańskich wierzeń, choć rozumiemy piękno obrazu, potęgę symbolu i wielkość myśli zawartej w idei „Prawdy Wcielonej”. Ale wyciągnięcie po bratersku dłoni do przeciwnika ideowego, niezachwiana optymistyczna wiara w ludzi, którzy chcą dobrze, wskazywanie na takich ludzi w przeciwnym obozie, odwaga zajęcia nowego stanowiska wobec konserwatywnych tendencji Kościoła — przy równoczesnym otwartym przyznawaniu się do kato-

licyzmu z wykluczeniem taktycznych ustępstw, — oto co bierze, przekonuje, pociąga i przede wszystkim nakazuje szanować i być wdzięcznym.

Do marksizmu dochodzi się ciężką i żmudną pracą. Nikt się marksistą nie rodzi, jak chyba nikt nie rodzi się katolikiem. Nie myślimy tu oczywiście o katolikach z konwensansu, markistach z koniunktury. Zawieyski przekreślił jednym odważnym gestem przepaść między nami, tak pogłębianą nieraz z obu stron. Różnice światopoglądowe nie muszą pociągać za sobą osobistej wrogości ludzi głoszących odmienne ideologie; ścieranie się poglądów niekoniecznie prowadzi do nie nawiąsi.

Powiecie: nie jesteście marksistami. Nie upraszczajmy; — któż z was może powiedzieć o sobie: jestem pełnym katolikiem? — Z pewnością niewielu uczciwych. Nie zgadzamy się wszak z wielu twierdzeniami Zawieyskiego, wiele pojęć jest dla nas pustych i nic nie znaczących: mistycyzm i metafizyka, wreszcie samo pojęcie „dobrej woli”. Wymaga ono jakiegoś wartościowania intencji w myśl stałego kryterium bezwzględnego do-

Postawa dobrej woli, sformułowana i postulowana przez Jerzego Zawieyskiego po raz pierwszy w jego „Kantacie Anielskiej” („Tyg. Powszechny” Nr 149) wywołuje rosnące zainteresowanie.

Styczeńowy głos Zawieyskiego na zjeździe szczecińskim, wysuwający raz jeszcze te same postulaty, spotkał się z pozytywnym oddźwiękiem również ze strony przedstawicieli obozu marksistowskiego w osobach: Włodzimierza Sokorskiego i Stefana Żółkiewskiego.

Poniżej drukujemy wypowiedź ludzi dobrej woli, ludzi zbliżających się do postawy sformułowanej w „Kantacie Anielskiej”, choć wyznających diametralnie różny, materialistyczny pogląd na świat.

Zasługują oni w swej zresztą nieskrystalizowanej postawie na miano katechumenów marksizmu i właśnie dlatego nas katechumenów katolicyzmu piszących we wkładce „Etap” interesują ich sformułowania.

Po odrzuceniu nawet teorii gruboskórnego determinizmu, wobec którego intencja przestaje mieć istotny sens, pozostanie jednak na dal w etyce marksistowskiej przekonanie, że ważniejszy od intencji jest czyn i jego skutek oraz wynikająca z niego aktualna korzyść społeczna.

Ale nie o tym chciał pisać Zawieyski. Pisał o „Katechumenach” i do „Katechumenów”. Pisał do ludzi, którzy szczerze i własnym wysiłkiem dążą do prawdy. Oto najbardziej sugestywna, zasadnicza treść „Kantaty Anielskiej”. Powstała dzięki Zawieyskiemu nowa platforma dalekiej od sceptycyzmu, wspólnej postawy szczerzego poszukiwania. Istnieje ona z wszelką pewnością, bez względu na to czy prawda jest jedna i obiektywna, jak głosi katolicyzm, czy też prawd jest wiele w zależności od dialektycznego rozwoju stosunków społeczno-gospodarczych — jak my utrzymujemy. Można ją przyjąć ja-

ko konkretną podstawę utworzenia nowej więzi społecznej, którą Zawieyski nazywa „Kościołem Powszechnym” skupiającym wszystkich ludzi dobrej woli. Nie będziemy się spierać o nazwę. Jesteśmy „katechumenami”. — Poczujemy się do tego. Choć może nie jeden z katolickich przeciwników Zawieyskiego nazwie to profanacją, ściśle określiśmy się jako „katechumeni marksizmu”. Ale nie będziemy dorzucać tego słowa. Oduczył nas tego Zawieyski w swojej „Kantacie Anielskiej”. Nauczyl nas jeszcze jednego: więź społeczną łączącą wszystkich katechumenów nazwał miłością i wyznaje, że jest nią z nami związany. Odpowiadamy najtrudniejszym w jakie nas stał w tej chwili zapewnieniem: obietnicą wypełnienia naszego obowiązku uczciwego szukania i wyznaniem naszego poczucia przynależności do „ludzi dobrej woli”.

„Katechumeni”

**Karol Zajczniewski**

# R Ó Ż N E D R O G I

## (List do francuskiego przyjaciela)

Ostatni Twój list, drogi René, sprawił mi wielką radość. Szczególnie ucieszyła mnie wiadomość, że tego roku wybierasz się do Polski. Prosisz, abym Ci napisał o życiu naszej młodzieży, o jej pracy i myśli. Interesuje Cię zwłaszcza pokolenie, do którego należymy Ty i ja — pokolenie dojrzałe w latach wojny.

Cóż pisać? Zadanie moje jest niełatwe, wiesz o tym sam. Problem wciąż jeszcze pozostaje otwarty, wypowiedzi moje cechować może subiektywizm. Dlatego chciałbym, abyś traktował je jako moje poglądy osobiste. O ile są słuszne zadecydujesz sam, gdy z naszym pokoleniem zetkniesz się bezpośrednio.

\*\*

„Przegrznięty już działa — pisała przed rokiem w akademickiej wkładce „Słowa Powszechnego” Alina. — Rozsioncznia się błękit na niebie, pęcznieje rola, niosąca w sobie plenny zasiew. Druty kolczaste przenoszą się na taśmę filmową — cierpienie staje się tematem sztuki. Do niedawna tak było prosto (brzmi to właściwie trochę dziwnie): naprzeciw mnie stał śmiertelny wróg — należało go zniszczyć. Dziś? Różnorodność światopoglądów tworzy misterna sieć pajaka dokoła ciebie. Nie chcesz być w roli muchy, zlapanej w którąkolwiek z nich — przelatujesz i wymijasz je wszystkie. Ale masz przeświadczenie: któraś siatka uwikła mnie w kołcu. Lecz która?”

Oto pytanie, przed którym stanęło nasze pokolenie po zakończeniu wojny. Ludzie, którzy od samego początku zajęli określone miejsce po tej, czy tamtej stronie ideologicznego frontu i trwają na nim konsekwentnie do dziś, są

raczej wyjątkami. Ogromna większość — nie ma co tańc — nie była przygotowana, by w zachodzących błyskawicznie wypadkach znaleźć swoją drogę. Składało się na to niezawodnie jednostronne, „państwotwórcze” wychowanie w przedwojennej szkole, składały lata wojny, które pracę intelektualną i dociekania światopoglądowe spychały — niby kosztowny luksus — na jutro. Dlatego właśnie pokolenie nasze w ogromnej swej masie zachowywało tak długo we wzbierającej walce ideologicznej pozycję neutralną. Trudno mieć do niego o to żal; jego pogarda wobec łatwizny gotowych rozwiązań, jego niechęć do tradycyjnych, szablonowych podziałów i zbyt pochopnego deklarowania się — wszystko to budzi raczej zaufanie do uczciwości i rzetelności.

Pisałem Ci swego czasu, drogi René, o słynnej „Kantacie Anielskiej” Jerzego Zawieyskiego. Zawieyski użył w niej bodaj pierwszy słowa „katechumeni” na określenie ludzi tak gorąco pragnących prawdy, że samo to pragnienie — choćby nie byli chrześcijanami — wprowadza ich do Kościoła Powszechnego. Otóż w takiej roli katechumenów znalazło się w wielkim okresie powojennej próby całe nasze pokolenie. Jego dzieje — to dzieje samotnego i odważnego błędzenia między liniami pozycji ideologicznych, kończącego się nieuchronnym rozbitciem grup — efemerydów i wessaniem rozbitków przez wielkie obozy światopoglądowe.

\*\*

Kiedy to piszę, drogi René, staje mi przed oczyma cała owa przebogata dro-

ga ostatnich czterech lat — droga zwątpienia, rozterki i szukania. Gdy będziesz w Polsce, René, pokażę Ci jej świadectwa i kamienie milowe razem: literacko-społeczne pisma młodych, periodyki młodzieżowe, kolumny i jednodniówki, które zachowałem od tamtych czasów.

Zobaczysz przede wszystkim dorobek literackiego Zespołu Młodych, jednego z pierwszych tego rodzaju — nie licząc młodzieży lubelskiej — bo uformowanego w Krakowie już w 1945 roku. Zespół grupował szereg dobrze zapowiadających się prozaików i poetów, jak Adam Włodek, Nik Rostworowski, Tadeusz Sokół, Władysław Machejek, Tadeusz Jęczalik, Wilhelm Mach i inni. Niewątpliwie zdziwią Cię „bojowe” tytuły: ich kolumna w „Dzienniku Polskim” zwała się „Walka”, a jednodniówka „Inaczej”. (Znajac Twoją złośliwość wiem, że w tym miejscu zapytasz: „a więc jak?” Odpowiem Ci na ucho, że nawet samemu Włódkowi, ambitnemu przywódcy grupy, nie mała trudność sprawiłoby wyjaśnienie, na czym w istocie polega „spokojne stwierdzenie artystyczno-życiowe: INACZEJ”, a pewien sprawozdawca prasowy za jedyny rzeczowy punkt ich programu uznał postulat drukowania w „Odrodzeniu”). Trudność stworzenia wspólnego programu odbiła się na trwałości grupy; rychło też Nik Rostworowski przeniósł się na łamy katolickiego „Dziś i Jutro”, a z pozostałych większość — poprzez socjalistyczny „Naprzód” grawitować będzie od-tąd ku pozycjom marksistowskim.

Podobny los spotkał inną grupę krakowską, która wiosną 1946 roku wystąpiła z jednodniówką „Wśród Młodych”.

Jej deklaracja wstępna stwierdzała, że „programem żadnym nie szermujemy; chemy pisać!”, a treść oznaczała się dość szeroką skalą poglądów. Jeśli czytałeś później prasę polską, drogi René, zauważyłeś może nazwisko Mieczysława Porebskiego w marksistowskim „Nurcie”, Jana Józefa Szczepańskiego w „Tygodniku Powszechnym”, Edmunda Niziorskiego we „Wsi”. Są to wszystko dawni członkowie tego zespołu.

To pismo o wielkim formacie, winięta tytułową wpadające w styl „Odrodzenia”, to dwutygodnik społeczno-literacki „Pokolenie” (nie mieszaj z obecnym pismem Z. M. P.), najpoważniejsza bodaj pozycja w czteroletnim dorobku młodych. Do dziś pamiętam sensację, jaką latem 1946 roku wywołał jego pierwszy numer z wstępniakiem Romana Bratnego. Ludzie, zgrupowani wokół „Pokolenia” wywodzili się głównie z literackiej młodzieży warszawskiej, która debiutowała w czasie wojny na łamach konspiracyjnej „Drogi”, „Sztuki i Narodu” i „Dźwigarów”. Pismo jest żywe i ciekawe, poziom niewątpliwie dobry. Znajdziesz tu wiersze Tadeusza Gajcego i Zdzisława Stroińskiego (poległych w powstaniu), Bratnego, Marcjaka-Oborskiego i Tadeusza Różewicza, znajdziesz prozę Macha, krytykę literacką Tadeusza Borowskiego, publicystykę Krzysztofa Gruszczyńskiego i Bohdana Czeszki, a wreszcie wspaniałe reportaże Jerzego Chram-Piórkowskiego. Na te ostatnie zwróć szczególną uwagę, drogi René, bo one Ci dadzą wiedzę o Polsce. Takie „Czerwone maki kwitną wszędzie”, „Drugi front” czyli „Nie amnestia potrzebna żołnierzom” tętnią najpraw-

dziwszym nurtem naszych uczuć z tamtych czasów. Sam Piórkowski to były żołnierz A. K., jedyny z żyjących uczestników zamachu na Kutschere, autor jego wstrząsającego opisu drukowanego w swoim czasie w „Dziś i Jutro”. Nie uwierzysz, drogi René, jak to dziś jeszcze chwytą za gardło...

Skoro już będziesz wertował „Pokolenie” pokażę Ci w nim słynny „List komunisty do przyjaciela z A. K.”, napisany przez Tadeusza Hołuj. Jest to jeden z dokumentów w naszej powojennej publicystyce, którego intencją jest nie pogłębianie przepaści, ale wyciągnięcie ponad nią ręki, nie dzielenie ale łączenie. Pod wpływem wojennego załamania wiary w człowieka odkrywa Hołuj ogromną wagę wartości moralnych. Dlatego rozgraniczając światopoglądy podkreśla Hołuj mocno wspólnotę postawy, wyrażającej się w młodzieńcym, idealistycznym buncie przeciwko ludziom ciepłym i obojętnym, przeciw wszelkiej krzywdzie i uciskowi”. „Nasz bunt — pisze — łączył nas, wspólnego mieliśmy nieprzyjaciela i kroczyliśmy jedną drogą, choć nie pod ramię... Ty byłeś „młodym katolikiem”, ja anarcho-syndykalistą.” A dalej: „My młodzi komuniści, których tak często nazywa się nuworiszami ruchu, przyszliśmy do partii nie pod wpływem uroku dialektyki i materializmu dziejowego, ale dla realizowania właśnie tych spraw, które są nam, mnie i tobie, wspólne... Nigdy nie byliśmy i nie jesteśmy wrogami Was. Rozumiemy Was tak, jak rozumielismy Waszą walkę.” Porównaj to stanowisko, René, ze stanowiskiem Zawieyskiego w „Kantacie Anielskiej” a zobaczysz zbliżności głębokie i krępujące.



Pokaże Ci i inne pisma. Poznasz „Przegląd Akademicki” z próbą konstrukcji „neopozytywistycznych” (Frybes, Szaniawski). Sformułowaniu tym zarzucisz pewnie elitaryzm i brak wniosków praktycznych, tym też zapewne tłumaczy się nikły oddźwięk „Przeglądu” wśród studenckich mas. Większy oddźwięk wywołała natomiast „Młoda Rzeczpospolita”, ten jedyny w swoim rodzaju ogólnopolski tygodnik młodzieży szkolnej, akademickiej i harcerskiej. „Młoda Rzeczpospolita” chlubiła się, że jest jedynym „pismem młodzieży”, gdy wszystkie inne są „pismami dla młodzieży”, że stosuje zasadę „samowychowania, samodzielnego podjęcia do odpowiednio postawionych zagadnień. Nie narzuca ona gotowych

poglądów, ale pobudza do myślenia, do samodzielnego ich tworzenia.” (Jan Grabowski — „Rola społeczna naszego pisma”). Toteż „Młoda Rzeczpospolita” przez rok swego istnienia spełniała wiecznie rolę wolnej trybuny, a zarazem szkoły elementarnej dla licznego grona początkujących publicystów i debiutantów literackich. Nie sposób wreszcie pominąć warszawskiego miesięcznika literacko-naukowego „Nurtu” pod redakcją Tadeusza Borowskiego. Znajdziesz tu starych znajomych z „Inaczej” i „Pokolenia”: Bratnego, Włodka, Różewicza, Gruszczyńskiego i innych. Dla większości z tych ludzi „Nurt” jest niewątpliwie wyższym stopniem marksistowskiego wtajemniczenia; ostatecznie wejdą do tego obozu przez wro-

ta seminarium nieborowskiego (choć i tam jeszcze nie brak rozdziewików między młodymi a starymi).

Te pisma, drogi René, to w największym skrócie przedstawiona historia ludzi, którzy wybrali trud samotnego szukania nad łatwą gotowych recept. Ich droga była zawila i bolesna. Przygniatał ich ciężar samotności, niecierpliwił brak szybkich i zdecydowanych wyników szukania, świadomość, że są w wielkim okresie przełomu bezczynni, napawała przygnębieniem. Wróćmy do zeszlórocznej wypowiedzi Aliny, a odnajdziemy w niej całą ową gorączkę, zwątpienie i rozpacz. „Czasy obecne — pisze Alina — to nie pora długich szamotań. Zdecydowana

postawa jest koniecznością. Tymczasem co robimy wszyscy? Płacemy się w słowach, w długich dysertacjach, w jeszcze dłuższych tyradach, które ani o krok nie zbliżają nas do celu. Nie jestem filozofem. Ale widzę w tej chwili czarno. Przed mymi oczyma nie rysuje się jasna droga dla namiętnych i gorliwych poszukiwaczy... W zmaganiach materializmu z katolicyzmem oni ponoszą największe porażki. Tamte skrajne obozy dają sobie radę. Mają do dyspozycji szeroko rozbudowany aparat, mają w swym ręku egzekutywę. Katechumeni? Są samotni. Czasem przypadają to do jednej, to do drugiej grupy z żarliwością neofitów i nie znajdując ani tu, ani tam poszu-

kiwanej karmy, kroczą dalej samotnie. Życiowo są przegrani.”

Z grup, które Ci wyliczyłem, nie istnieje dzisiaj żadna. Epoka błakania się po przedpolach zdaje się należeć do przeszłości. Z wczorajszych „katechumentów” jedni zadeklarowali się po stronie katolicyzmu, inni po stronie marksizmu.

Czy ich krok nie jest sprzeniewierzeniem się dawnym ideałom wierności prawdzie, prawdzie zdobytej własnym, rzetelnym wysiłkiem szukania? Czy ich krok nie jest w istocie rezygnacją z postawy dobrej woli, czy nie jest kapitulacją?

Pewnie — „kapitulantów” nie brak. Są to ci wszyscy, którzy przez przyjęcie gotowego rozwiązania uciec chcą od trudu jego tworzenia. Ich deklaracje są nieszczerze i bez przekonania, u podstaw leży znużenie i strach przed samotnością. Czyż można ich zresztą winić? Wielu z nich zlamana wojna. Znasz takich, René, spotykasz ich również często w Paryżu między towarzyszami z Résistance, jak ja w Warszawie wśród dawnych kolegów z A. K. Ich entuzjazm wypalił się do cna w mrokach okupacji; pozostał nagi, wstygiły sceptycyzm, podgryzający wiarę w wartość prawdy. Czasem niektórzy z nich pragną nadludzkim wysiłkiem zrzuć z siebie skorupę starca, rozdmuchać pragną z popiołów zamarłą wiarę. Gdy będziesz w Warszawie, drogi René, poproś Stanisława Marchacza-Oborskiego o jego wiersz, który tak trafnie wyraża ową tęsknotę za postawą zimną lub gorącą. Wiersz nosi tytuł „Modlitwa o skrajność”.

Co do nas — moich przyjaciół i mnie — po długiej tułaczce na ideologicznych przedpolach dotarliśmy do katolicyzmu. Przyszliśmy doń w przeświadczeniu, żeśmy znaleźli w nim to, czego szukaliśmy. Czyż oznacza to jednak koniec wędrówki za prawdą? Bynajmniej. Odkryliśmy dopiero jej kierunek. Tylko faryzeusz może utożsamiać z prawdą zespół własnych pojęć i nawyków myślowych, albo własne postępowanie. Człowiek dobrej woli wie, że w żadnej chwili nie posiadał pełni prawdy, dlatego szukać jej musi przez całe życie. Jeżeli bowiem cała prawda byłaby przy nas, czemu tylu ludzi uczciwych i myślących tkwi w szeregach przeciwnika? U podstaw ich ideologii musi leżeć jakaś cząstka prawdy, której brak dziś w światopoglądzie chrześcijan. Wzrost tamtych obozów, drogi René, to prosta funkcja naszych grzechów zaniedbania i odstępstwa od pełni prawdy, którą jest chrześcijaństwo. Ich błąd wynika z naszych błędów. Dlatego nie możemy nienawidzić ludzi z tamtych obozów; widzimy w nich nieświadomych chrześcijan, czujących w postaci okaleczonej i niedoskonałej to, co Bóg objawił w pełni.

Ich nawrócenie nastąpić może, gdy nasz światopogląd powróci do pełni prawdy. Do tego musimy zadać sobie trud ogarnięcia jej całej; musimy wyszukiwać jej okruchy w światopoglądzie przeciwnika by przyjąć je za swoje — i musimy nieustannie, bezlitośnie rewidować własne pojęcia i postawę praktyczną, demaskując w niej obojętność, zakłamanie i fałsz. Postawa dobrej woli, którą przyjąć chcemy, mierzy się właśnie bezkompromisowością w tępieniu ujawnionego zła, bez względu na to czy wykryte zostało w przeciwniku czy w nas samych.

I nie zdziwisz się teraz zapewne, drogi René, że ja — młody katolik — zakończę ten list do Ciebie słowami komunisty Tadeusza Hołujki:

„Nasz bunt rozpoczął się w imię tych spraw i trwa.”

Karol Zajaczkowski

Maciej Kowalski

## W TROSCE O CZŁOWIEKA

Wojna i okupacja wzmagają poczucie losu wspólnego, chęć zbliżenia i zacieśnienia więzów wewnątrz określonej grupy. Jednocześnie nieopstrzeżenie tłumy w obliczu ogromu cierpienia i anonimowej walki zainteresowania osobą pojedynczego człowieka. Niepokój, który zagnieżdżył się w postępowaniu, myśleniu i marzeniach nie pozwolił na zastanowienie się nad sobą i innymi, nad codziennym dniem i wartościami, które on przynosi lub które niszczy.

Podstawy etyki, w której byliśmy wychowani straciły walor drogowskazów. Z trudem i niecierpliwością szukaliśmy zaczęliśmy nowych wskaźników i nowych kryteriów postępowania i światopoglądu, szukać wyłumaczenia dla niepokojących przejawów życia zbiorowego i osobistego.

### ZAWODNA UCIEZKA W NAUKĘ

Sięgnęliśmy do nauki i metody naukowej, chcąc za jej pomocą przeniknąć i ocenić całą rzeczywistość.

Ala nauka nie może sięgać do hipotez obejmujących wszystko istniejące. Zawsze groźne jest niebezpieczeństwo głoszenia prawdy niecałkowitej za całą prawdę.

Rzutowanie metody słusznej i odkrywczą w jedną gałąź wiedzy na inne dyscypliny, lub co gorsza na nieokreśloną całość życia, kompromituje przedź czy później. Kompromituje metodę, jej wyznawców i aplikantów, każda wątpliwość o powadze stanowiska poznawczego, o poczuciu odpowiedzialności za nauczanie.

Zaufanie jakim obdarza człowiek dzisiejszy naukę jest zobowiązujące. Mówiono już o tym wiele. Przedstawiciele jednych kierunków poznania przypominają o tym swoim oponentom, wyznawcom metody odmiennej. Wspólnie jednak zgadzają się na przewagę światopoglądu naukowego nad każdym innym, przypisują mu nadrzędną rolę w kształtowaniu życia i psychiki, twierdzą, że poprzez zbliżenie się do myśli postulatów nauki do ścisłości, zdobywamy tak pożądaną pewność kierunków rozwoju i środków pozwalających kształtować świat według celów postawionych i przyjętych.

Kwalifikacja według stopnia naukowości stanowi kryterium niejednokrotnie decydujące, dla oceny postępowania, światopoglądu oraz twórczości osobistej i zbiorowej. Kojąca jest świadomość potęgi myśli, poległa narzędzi kształtujących otoczenie człowieka, przyrodnicze i humanistyczne. Wola mocy dzisiejszego człowieka wyraża się w technice, polityce. Często także w historiozofii, której wizje bywają piękne i porywające, ale zawsze w roztrząsaniach „naturalnych praw” i „naukowych” lub „wiecznych” prawd gubią pojedynczego człowieka.

Nie może odnaleźć go nauka, bo nie dysponuje środkami poznania pełnej osobowości człowieka.

### SPOJRZENIE W ŚWIAT W CZERWIEC

Rzeczywistość społeczna, która nadała kształt dzisiejszemu pokoleniu opierała się na ekonomicznie indywidualistycznym stanowisku, wyznającym egocentryczny stosunek do otoczenia.

Zaspokojenie potrzeb było funkcją, wynikiem działalności konkurencyjnej, w ostatecznym efekcie niszczytelnej.

Miarą istotnie decydującą o postępowaniu była opłacalność. Ocena człowieka opierała się w istocie, w skali społecznej, na kryterium posiadania. Bezpieczeństwo posiadania miało być źródłem spokoju i tej godności, jaką daje pewność siebie. Filkcja, jaką żył egocentryczny człowiek kapitalizmu, fikcją bezpieczeństwa i trwałości posiadania odebrała mu poczucie rzeczywistości przemian społecznych i własnego rozwoju wewnętrzznego. Niecierpliwość posiadania, sama w sobie była zaprzeczeniem spokoju. Wzrastało przy tym poczucie osamotnienia wobec nowych więzi, kształtujących życie zbiorowe. Walka o potęgę majątkową, bezwzględna i okrutna, wydawała się w ocenie „zdrowego rozsądku” jednym sposobem uniknięcia nędzy i zachowania odpowiedniego dystansu wobec tych, którzy nędzę doznają.

Socjologicznie zdeterminowana konieczność walki o majątek i władzę była zresztą niezaprzeczalną rzeczywistością.

Pozorna jednak była prognoza o wycieku stanów, równowagi i harmonii społeczno - gospodarczej, jaka miała wytworzyć się w wyniku stopniowego doskonalenia istniejących „naturalnych” urządzeń społecznych.

Poszanowanie praw jednostki, sprawała się często do podsycaenia pychy i niecierpliwości ludzi drapiących się na zachwalane „panujące i bezpieczne” zamki bogactwa, zamożności, czyli tak zwanego porządku bytu.

Harmonijni ludzie nie zakwitli — mimo zapowiedzi — na złotodajnej próchnicy kapitalizmu. Realizm i zdrowy rozsądek „świętego przedsiębiorcy” zdekonspirowani. Ukazały się fałsz i samozakłamanie, kiepskie odtrutki na trwożliwie tajone niezadowolone z siebie i swoich świętości, mistyfikacji „dobrych uczynków” i „dobrych ludzi”. Upadła troskliwie hodowana dewocyjna wiara w potęgę pieniądza i w cnoty businessmena.

Wiarę w Chrystusa, zagwarantowaną nienaruszalną wygodną tradycją człowiek kapitalizmu cynicznie uprawiał „dla porządku” i „dla przykładu”, lub przenosił do rezerwy jako ubezpieczenie na wypadek nieszczęść, choroby i śmierci. Kiedy socjalizm demaskował jedno po drugim, kaleczy i choroby społeczno - gospodarczej struktury kapitalizmu, zastanawianie się nad życiem wewnętrznym pojedynczej osoby ludzkiej w świecie tym wychowanej i działającej, stało się z czasem źródłem nowego etapu chrześcijańskiej filozofii. Jaskrawie negatywne fragmenty obrazu ludzi wczorajszych nie pochodzą tylko z marksistowskiej krytyki społeczeństwa burżuazyjnego, są także konsekwencjami oceny z punktu widzenia chrześcijańskiego personalizmu.

### REALIZM I HUMANIZM WSPÓŁCZESNOŚCI

Światopoglądowi indywidualistycznemu, którego rezultatem tak często bywał chorobliwy egoizm przeciwstawiono realizm materializmu historycznego ze strony marksizmu a personalizm ze strony katolickiej. Oba te sta-

nowiska zawierają cechy humanizmu jakkolwiek odmiennie interpretowanego. Humanizm chrześcijański może postawić problem celu i środka tylko w jednej postaci: „środku przesadzającym o celu”.

Cel osiągnięty będzie odległy od zamierzonego o tyle właśnie, o ile dobór środka nie godzi się z motywami, z których zamierzenie powstało. Realizm socjalistyczny imponuje stanowczymi kryteriami i twardą, konsekwentną oceną. Ale nie jest przekonujący jaką postawą, jaką przybiera ta doktryna wobec spraw życia wewnętrznego oraz wobec osoby ludzkiej. Jego humanizm swój stosunek do człowieka pojedynczego opiera na kryteriach natury socjologicznej. A więc o wartości osoby ludzkiej decyduje postępowanie odpowiadające kierunkowi przemian historycznych, rozumianych oczywiście na sposób materializmu historycznego. Uniwersalne aspiracje doktryny marksistowskiej zmierzają do tego, aby jej metoda obejmowała człowieka bez reszty w całości psychofizycznych procesów. Objąć t. zn. wobec zasadniczej dla marksizmu nierozłączności teorii i praktyki — rozpoznać a odzłaczać.

W tym punkcie cechuje wielu marksistów nieogledność i niecierpliwość w szalowanym argumentami nauki na swoją korzyść, a zarzutami ciemnoty i wsteczności, w stosunku do ludzi wyznających światopogląd spirytualistyczny. Ci ostatni bowiem twierdzą, że w poznaniu naukowym nawet dialektycznym nie mieści się cała prawda o człowieku i jego życiu. Ludzie intelektualnie uczciwi nie mogą sądzić że to wszystko, co dzieje się poza zasięgiem ich doktryny nie ma sensu.

Stanowisko odmiennie jest nadużywanym metody naukowej, choćby była najbardziej nawet odkrywczą i płodną. Prowadzi do przekonania, że poza zasięgiem jej rozpościera się oczywiście nicość, w którą wnikanie innymi drogami jest conajmniej bałamutnym marnotrawstwem. Czy wyznawców jakiegokolwiek metody poznawczej, naukowy światopogląd uprawnia do metafizycznych twierdzeń, że z całą pewnością nie istnieje nic więcej ponad to co się istniejącym środkami naukowymi określić i opisać daje. Człowiek nieuprzedzony, odpowie na to pytanie przecząco.

### WARTOŚĆ CODZIENNEGO TRUDU

Nie jest celem powyższych fragmentarycznych uwag wzniecenie dysputy naukowawczej. Ich celem jest wyrażenie niepokojów. Źródłem tego niepokojów, przeżywanego przez niektórych wydaje się być fakt niedostrzeżenia przez marksizm, dokonywający przebudowy społeczeństwa, jak wielką rolę odgrywają dla idei uspołecznienia przeżycia wewnętrzne pojedynczych ludzi. Przeżycia, które nie mają wydziewku, ani klasowego, ani narodowego, a jednak obejmują wszystkich w sposób nieraz niezwykłe żywy i żywsze są przy tym często od innych dających się określić i zapisać. Rzeczywistość najlepiej uchwytana jest w codziennym dniu pracy. Znajac siłę, z jaką codzienność kształtuje moralny wygląd człowieka, chcemy dzisiaj trud ten uczynić źródłem radości. Troska o zbudowanie

techniczno - gospodarczych podstaw dla humanizacji stosunków środowiska pracy cechuje współczesną ideologię postępu. Doniosłość tego zadania uznają każdy, kto rozumiał jak potężnym jest udział codziennej walki o byt i kształtowaniu człowieka, w każdym społeczno - historycznym etapie jego rozwoju. Krytyczny umysł Karola Marxa gruntownie przeniknął elementy tego procesu i wskazał praktyczne środki oddziaływania na jego bieg. Wzbuździł nadzieję ustanowienia porządku społecznego, w którym człowiek będzie wolny od „strachu przed nędzą”, od okrucieństwa niezbędne rzekomo w codziennej walce o byt. W dążeniu do humanizacji i uznania wartości codziennego trudu marksizmu w wysokim stopniu zgodny jest z nauką chrześcijańską.

Chrystus odnalazł w doświadczeniu wewnętrznym ludzi żyjących z pracy rąk własnych, tak wielkie wartości, że ludzi tych uczynił głosicielami braterstwa i miłości. Życiem swoim uświęcił zwykły trud, podniósł go do godności chrześcijańskiej. Toteż katolicki stosunek do pracy i do walki o nowy tej pracy sens społeczny wywodzi się z podstawowych założeń etyki chrześcijańskiej, której głębokim postulatem jest troska o człowieka w jego ziemskich i duchowych przeżyciach. Niecierpliwość dążeń, tak dramatycznie występująca wśród ludzi niepokojnych o istotną wartość ich życia jest źródłem pozornie tylko trwałej więzi społecznej.

Poczucia bliskości z drugim człowiekiem wypływającego z zaufania i zrozumienia nie wytworzy samorzutnie żaden ustrojowo - gospodarczy model porządku społecznego, jedynie troską o każdego imago człowieka, o wartość jego życia i czasu, o klimat, w jakim kształtuje się jego moralność i światopogląd jest w stanie zapewnić spokój wewnętrzny wypływający z poczucia braterstwa z każdym człowiekiem. Spokój ten niezbędny jest dla twórczego rozwoju osobowości ludzkiej i więzi, która zabezpieczy wartości zdobyte wysiłkiem codziennego trudu.

### O POSTAWĘ DOBREJ WOLI

Humanizm, który dowierza tylko systemowi tych czy innych naukowych kryteriów w sprawach ludzkiego życia grozi naiwnym i niesprawiedliwym życia tego osądzeniem. Stanać może w obliczu deformacji, jakiej pod jego wpływem ulega stosunek człowieka do człowieka.

Wiedza, jaka płynie z dociekań naukowych i wyobrażanie przyszłego, szczęśliwego świata nie dadzą człowiekowi tej poważnej i spokojnej radości, która towarzyszy czynieniu dobra, trosce o bliźniego, miłości do świata. Nie ma kryteriów, szeregujących typy i kategorie dobra. Dobra jest zmienne, ale konkretne i uchwytne, bo odnajduje i rozwija się w każdym człowieku, którego stać na przychylny innym akt woli.

Otwarta przwiązań rodzaj odkrywanie wspólnych wartości, ożywiających odłęd powstałą z woli braterstwa więź. Więź ta będzie odporna na niepokój i wstrząsy współczesnego świata, bo czerpie siłę swą z potężnego i zawsze konstruktynego uczucia miłości bliźniego.

Maciej Kowalski



# TYDZIEŃ KULTURALNY

## PAŃSTWOWY MOSKIEWSKI TEATR DRAMATYCZNY PRZYBYWA DO POLSKI

**D**NIA 4 kwietnia br. przybył do Warszawy po miesięcznym pobycie w Czechosłowacji, Państwowy Moskiewski Teatr Dramatyczny pod kierownictwem artystycznym Mikołaja P. Ochłapkowa.

Państwowy Moskiewski Teatr Dramatyczny wystąpi z szeregiem przedstawień w Warszawie, Łodzi, Poznaniu, Gdańsku, Katowicach oraz Krakowie, skąd powróci następnie do Warszawy, aby w dniu 5 maja br. opuścić Polskę.

Podczas swego pobytu w Polsce Państwowy Teatr Dramatyczny wystawi następujące sztuki: „Wielkie dni” (bitwa o Stalingrad) Mikołaja Werty, „Młoda Gwardia” według powieści A. Fadiejewa, „Sąd honorowy” Aleksandra Steina, „Wiosnę w Moskwie” — komedię muzyczną Wiktora Gussiewa z muzyką Nikity Bogosławskiego, „Taniec” Aleksieja Arbusowa, „Psa Ogródnika” Lope de Vegi.

W rolach głównych wystąpią czołowi artyści radzieccy.

Państwowy Moskiewski Teatr Dramatyczny pozostaje pod kierunkiem reżyserskim W. N. Własowa, I. E. Zołotowa i A. M. Łobanowa. Dyrektorem teatru jest Walentyn Iwanowicz Markiczow.

Wraz z zespołem teatralnym Państwowego Moskiewskiego Teatru Dramatycznego przybędą do Polski przedstawiciele Komitetu Kultury Rozanow, Tass'a - Diakonow i WOKS'u - Chonin.

## WYSTAWA MALARZY POLSKICH XIX I XX W. W PRADZE

**J**EDNYM z najdonioślejszych wydarzeń tygodnia przyjaźni polsko - czechosłowackiej było otwarcie w Pradze Czeskiej dn. 9.III.1949 r. wielkiej wystawy retrospektywnej Malarswa Polskiego XIX i początku XX stulecia.

Wystawa zorganizowana przez Ministerstwo Kultury i Sztuki w gmachu Umoleckiej Besedy na Slovanskim Ostrowie otwarta została pod protektorem ambasadora R. P. w Czechosłowacji Leonarda Borkowicza, Ministra Szkolnictwa CSR prof. dra Zdenka Nejedly i Ministra Informacji i Oświaty Wacława Kopeckiego.

Komisarzem Wystawy z ramienia Ministerstwa Kultury i Sztuki był prof. Maciej Masłowski.

Wystawiono 75 obrazów 27 malarzy polskich od Antoniego Brodowskiego po Tytusa Czyżewskiego i Zygmunta Waliszewskiego. Obrazy pochodzą z Muzeum Narodowego w Warszawie, Muzeum Narodowego w Krakowie oraz muzeów: w Bytomiu, Łodzi i Gdańsku.

Reprezentowane są nazwiska najślawniejszych artystów polskich, m. in. P. Michałowskiego, J. Matejki, A. Grottgera, J. Chełmońskiego, H. Rodakowskiego, braci Gierzyńskich, T. Pankiewicza, Wł. Ślewińskiego. Wystawa cieszy się ogromnym powodzeniem publiczności czechosłowackiej.

## SEKCJA TŁUMACZÓW PRZY PEN-KLUBIE

**W** ostatnich dniach odbyło się w świetlicy ZAIKSu zebranie organizacyjne Sekcji Tłumaczy, zwołane przez zarząd Pen-Klubu z udziałem przedstawicieli zarządu w osobach: Jarosława Iwaszkiewicza, Ireny Krzywickiej, Jana Parandowskiego i Michała Rusinka oraz grona zaproszonych tłumaczy.

Na zebraniu przyjęto projekt regulaminu Sekcji, która w trosce o podniesienie poziomu przekładów literatury światowej postanowiła otoczyć opieką zarówno dzieła literackie, jak i pracę tłumacza.

Sekcja ustaliła następujące główne swoje zadania:

1) nawiązanie współpracy z Ministerstwem Kultury i Sztuki, z wydawcami, z ZAIKS-em, Polskim Radio, Filmem Polskim i innymi za interesowanymi instytucjami, w celu ochrony moralnych i materialnych praw tłumacza;

2) zorganizowanie konkursów na najlepsze przekłady z poezji i prozy;

3) stworzenie poradni językowej dla tłumaczy, zaopatrzonej w podręczną bibliotekę pomocniczą;

4) organizowanie zebrań dyskusyjnych dla omawiania techniki przekładu.

Tymczasowy zarząd sekcji ukonstytuował się w następującym składzie: Irena Krzywicka, Gabriel

Karski, Julian Rogoziński i Kazimierz Truchanowski.

## UTWÓR PANUFNIKA WYKONANY W NOWYM JORKU

**W** ramach koncertu orkiestry symfonicznej pod dyktando Leopolda Stokowskiego w Carnegie Hall w Nowym Jorku wykonano po raz pierwszy w USA, utwór polskiego kompozytora Andrzeja Panufnika — „Uwertura Tragiczna”.

Koncertu, na którym wykonano także utwory symfoniczne Brahmsa i Chaczaturiana, wysłuchali goście zagraniczni — delegaci na Kongres Intelktualistów w Obronie Pokoju.

## POMNIKI WARSZAWSKIE

**S**ZKICE pomnika Adama Mickiewicza, wykonane są obecnie przez prof. Szczepkowskiego i Brajera. W grudniu br. pomnik ma stanąć na dawnym miejscu przy ul. Krakowskie Przedmieście.

W najbliższym czasie przybędzie z Danii pomnik ks. Józefa Ponia-

towskiego. Stanie on na skwerze przed Pałacem Rady Ministrów. Na dzień 22 lipca będzie ukończona kolumna z pomnikiem Zygmunta oraz odrestaurowany pomnik Kopernika.

## SZKOŁA DLA REŻYSERÓW TEATRÓW OCHOTNICZYCH

**W** Bydgoszczy otwarto pierwszą w Polsce szkołę dla instruktorów świetlicowych i reżyserów teatrów ochotniczych.

Zadaniem szkoły jest przygotowanie samodzielnych organizatorów życia teatralnego na terenie świetlicowym wsi i miast.

Szkoła zaznajamia słuchaczy z całością zagadnień z zakresu teatru ochotniczego: wyborem repertuaru, reżyserią, podstawowymi zasadami techniki gry aktorskiej, scenografii i kostiumologii.

Nowootwarta placówka jest szkołą średnią na poziomie licealnym.

Do egzaminów selekcyjnych przystąpiło 79 kandydatek i kandyda-

tów, z których przyjęto 35 osób. Słuchacze pozamiejscowi korzystają z bezpłatnej bursy szkolnej.

Słuchacze uczą się samodzielnie opracowywania tekstów literackich i organizowania widowisk, biorą udział w dyskusjach, piszą referaty, biorą czynny udział w pracy świetlicowej w terenie oraz utrzymują stały kontakt z ogniskami kultury i sztuki, teatrem, muzeami, koncertami, salonami wystawowymi itp.

Zorganizowano już chór i kapelę ludową, gazetkę mówioną i ścienną, prowadzi się stałą kronikę świetlicy.

Dyrektorem szkoły jest Władysław Drażkowski.

## 35-LECIE PRACY ARTYSTY

**D**NIA 25 marca br. w Teatrze Miejskim w Lublinie odbyła się uroczystość jubileuszu 35-letniej pracy artystycznej dyrektora obu teatrów lubelskich, Maksymiliana Chmielarzyka, który w dniu premiery sztuki Moliere „Skapiec” wystąpił w tytułowej roli Harpagona.

Protektorat nad uroczystością objął minister Kultury i Sztuki, Dybowski.

Po przedstawieniu wręczono jubilatowi kosze kwiatów, cenne upominki oraz 100 tys. zł. premii, przyznanej przez Ministerstwo Kultury i Sztuki.

Przemówienia okolicznościowe wygłosili przewodniczący WRN i przewodniczący MRN. Mówcy życzyli jubilatowi dalszej owocnej pracy na niwie teatru.

Po przemówieniach okolicznościowych i odczytaniu depesz gratulacyjnych, nadesłanych z całego kraju przez przedstawicieli świata artystycznego, literatów, muzyków i kolegów pracy zawodowej artysty, publiczność zgłowała jubilatowi gorącą owację.

## ZEBRANIE WROCŁAWSKIEGO TOW. NAUKOWEGO

**D**OROCZNE ogólne zebranie publiczne Wrocławskiego Towarzystwa Naukowego, które odbyło się w auli Politechniki poświęcone zostało podsumowaniu dotychczasowej działalności Towarzystwa, wręczeniu dyplomów nowym 12 członkom, w tej liczbie prof. dr Eduarowi Cechowi z Pragi oraz omówieniu planu badań nad najnowszą historią Śląska.

Po zagajeniu zebrania przez rektora Kulczyńskiego — prezesa Towarzystwa — sekretarz generalny prof. Olszewicz złożył szczegółowe sprawozdanie z dotychczasowych prac badawczych i wydawniczych WTN.

Wręczenie dyplomów nowo wybranym członkom Towarzystwa po przedziło przemówienie rektora Kulczyńskiego, który w serdecznych słowach powitał prof. Cecha — znanego matematyka czechosłowackiego. Rektor podkreślił, że Wrocławskie Towarzystwo Naukowe, wybrało spośród wielu zaprzyjaźnionych profesorów czechosłowackich prof. Cecha na pierwszego swego członka zagranicznego, ponieważ położył on duże zasługi na polu zbliżenia nauki polskiej i czechosłowackiej.

Po wręczeniu dyplomu, prof. Cech, podziękował w serdecznych słowach za wyróżnienie. Zabrał następnie głos prof. Wyslouci, prorektor Uniwersytetu Wrocławskiego, przedstawiając plany, związane z badaniami nad najnowszą historią Śląska.

J. A.

## „Żywe wydanie dzieł Fr. Chopina”

**W** ubiegłą niedzielę zakończyła się bardzo interesująca impreza związana z „Rokiem Chopinowskim” mianowicie „Żywe wydanie dzieł Fr. Chopina”.

Myślmy tu oczywiście o imprezie centralnej, o tej która odbyła się w Warszawie. Zastrzeżenie to jest istotne bowiem, jak wnioskować można z lektury prasy prowincjonalnej, niektóre większe ośrodki poszły za przykładem stolicy urządzając podobne cykle, które później rozpoczęte, trwają w chwili gdy piszemy te słowa.

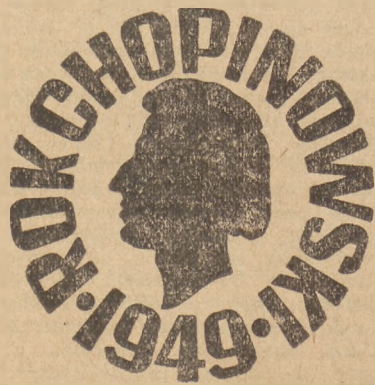
W czasie od 23 lutego do 3 kwietnia w czternastu koncertach i recitalach usłyszeliśmy wszystkie utwory Chopina.

Fakt ten z wielu względów zasługuje na szerszy nieco, niż kronikarski, komentarz.

Na ogół biorąc audytorium polskie nie może narzekać na brak okazji do stałego kontaktu z muzyką Chopina. Wszyscy polscy pianiści i wszyscy goście zagraniczni mają w swoich repertuarach utwory naszego Mistrza. Rzecz tylko w tym, że w tych repertuarach układanych wyłącznie według upodobań wykonawcy, pewne pozycje powtarzają się bardzo często, na niektóre trzeba czekać latami, a są i takie których w ogóle usłyszeć nie można.

Często słyszymy scherzo h-moll, ale sztuka jest trafić na taki recital, w którym by wykonane było Allegro de Concert op. 46. Jeszcze gorzej wygląda sprawa utworów pisanych na kilka instrumentów. Toteż, „żywe wydanie dzieł Fr. Chopina” zasługiwało na uwagę przede wszystkim z tego względu, że w ramach tego cyklu usłyszeliśmy wszystkie utwory, a więc i te, o których wiedzieliśmy niejednokrotnie tylko z indeksu. Przyzna jemy otwarcie: większą uciechę stanowiła dla nas audycja XIV, w której wykonano szereg utworów młodszych, niż wiele innych opartych na kompozycjach znacznie doskonalszych, ale grywanych bardzo często.

Trudno natomiast jest mówić w ocenie całej imprezy o jakimś przeglądzie dzieł Chopina. Programy poszczególnych koncertów nie miały nic wspólnego ani z chronologią, ani z planowym podziałem na typowe rodzaje kompozycji. Jedynie Preludia i Etiudy usłyszeliśmy ra-



zem — wszystkie inne utwory były rozparcelowane w sposób tak skomplikowany, że innej w tym koncepcji jak tylko zmierzającej do ułatwienia pracy pianiście, dopatrzeć się nie było można. Znać było, iż każdy pianista miał prawo wyboru kilku utworów, ale, w zamian za to musiał się zgodzić na przyjęcie do programu recitalu szeregu pozycji „z przydziału”.

Piszemy o tym nie z chęci zrobić nia komukolwiek przykrości. Wiemy, że inaczej nie można było wybrnąć z zadania. Obowiązkiem naszym jednak jest podkreślić tę cechę imprezy, gdyż wpływa ona w sposób widoczny na wartość poszczególnych audycji. W omówieniu „Żywego wydania dzieł Fr. Chopina” nie można pominąć trudności wykonawców. W czternastu audycjach przez estradę Filharmonii stołecznej przewinęło się dwudziestu pianistów, nie licząc zespołu orkiestry, dyrygentów i innych solistów.

Impreza, o której mowa była więc rewią polskich mistrzów fortepianu. Stwierdzić trzeba, iż wszyscy pianiści traktowali te bądź co bądź niecodzienne swoje występy bardzo poważnie.

Widać było staranność w przygotowaniu, widać było duży pietyzm dla wykonywanego repertuaru. „Żywe wydanie” było świętem polskich pianistów. Zrozumieli oni swoją rolę należycie i za to należy im się wielkie uznanie.

Z dwudziestu osób da się wyłonić dwie grupy. Pierwsza z nich to pianiści starsi, doświadczeni, rutynowani. Tutaj nie było większych niespodzianek. Chyba tylko to, że Preludia doczekały się wreszcie w wykonaniu prof. Woytowicza należytego ujęcia. Laureat Nagrody Państwowej oczyścił te przepiękne

utwory z nakładanego na nie dotychczas osadu letniej cikliwości. Preludia w relacji Woytowicza zachowały pełnię swego nastroju, pełnię romantyzmu, a jednocześnie porwały szerokim męskim oddechem, którego nie tłumili tani sentymentalizm.

Poza tę jedną poprawkę uczyniono i słusznie i w porę nie było rewelacji: Wysoki poziom, a przy tym pewien swój własny tradycjonalizm.

Druga grupa, pianiści młodego pokolenia, wśród nich ci, którzy reprezentować będą narodowe barwy Chopina we wrześniowym konkursie Jego imienia, traktowani byli przez organizatorów trochę po macoszemu. Zlecano im zazwyczaj wykonywanie utworów mniej znanych, młodzieżowych lub pomniejszych przed samego twórcę — a przecież żadna z tych okoliczności nie świadczy, by kompozycje te były łatwiejsze technicznie, a zwłaszcza interpretacyjnie.

Uwzględniwszy tę sytuację, zachowując jak najdalej posuniętą wyrozumiałość i ostrożność w opinowaniu, trzeba stwierdzić jednak, nie bez żalu, że jeśli IV konkurs im. Chopina będzie miał poziom poprzednich, to członkowie ekipy polskiej nie wielkie mają szanse. Do nikogo o to pretensji mieć nie można. Na talenty trzeba czekać cierpliwie.

Pozostawałaby jeszcze sprawa najważniejsza. Odpowiedzieć trzeba sobie na pytanie, czy impreza miała charakter powszechny i o ile przyczyniła się ona do rozszerzenia kultu Chopina. Odpowiedź jest trudna — wydaje się nawet, że jeszcze dziś niemożliwa. Sądźmy, że bardziej decydujące znaczenie mieć będą prowincjonalne kopie imprezy. Dużym plusem organizacyjnym było to, iż wszystkie koncerty transmitowane były przez Polskie Radio. Dla uzupełnienia relacji podkreślić trzeba dużą sprawność organizacyjną wykazaną przez młodą ale energiczną instytucję „Artos”. Wydaje nam się, że ta ostatnia sprawa godna jest specjalnej uwagi. — O powodzeniu każdej imprezy w dużym stopniu decyduje organizacja techniczna, „Artos” zdał trudny egzamin na piątkę.



# Widowiska muzyczne w Warszawie

Teatr Polski: Występ gościnny Słowackiego Teatru Narodowego z Bratysławy.

Teatr Nowy: Opera komiczna J. Straussa: Zemsta Nietoperza. (Reżyser — St. Perzanowska, kapelmistrz: M. Krzyński, dekoracje: J. Szancer, baletmistrz: L. Wójcikowski.)

W tygodniu 21 — 27 marca br. poza stałą akcją koncertową związaną z Rokiem Chopinowskim, odbyły się w Warszawie dwie imprezy muzyczne o charakterze widowiskowym. Jedną z nich był jednorazowy, gościnny występ Narodowego Teatru z Bratysławy z widowiskiem ludowym p. t. „Rok na wsi”, drugą zaś premiera w Teatrze Nowym „Zemsty Nietoperza” J. Straussa.

Występ naszych gości (środa, dnia 25.III) wywołał w Warszawie duże zainteresowanie, czego dowodem wypełniona po brzegi sala Teatru Polskiego. Ten objaw zainteresowania folklorem jest faktem bardzo radosnym. Zainteresowanie folkloru polskiego domaga się wydobycia go z ukrycia i jak najszybszego kultywowania. Przyglądałem się zespołowi naszych sąsiadów aby zarówno poznać charakter ich pieśni i tańca, jak i z ich osiągnięć i potknięć wysnuć właściwe wnioski dla nas. Ocenę spektaklu „Rok na wsi” należy rozłożyć na szereg punktów. Jako pierwszy — samo ujęcie. Widzieć mi się ono niebyło eozęśliwe. W jednym przedstawieniu zgromadzone szeregi obrzędów ludowych (niektóre zresztą popularne i u nas) jak np. topienie Marzanny, Mai (nasz gank), wróżby, Szopki Boże — Narodzenie wesela z oczepinami itp. Wszystkie powiązane ledwie zarysowaną akcją, bez tempa i narastania konfliktu, niezbędnego dla utrzymania zainteresowania widza. Oparte na wszystkim o ekromniutkie, niezmienną się dekoracje oraz obramowane dość jednostajnie, przeważnie tęsknymi melodiami, dość szybko nuży widza, który chciałby więcej życia, kontrastów tak muzycznych, jak w nastrojach scenicznych i akcji. Mam również wątpliwości, czy przedawanie widowiska monologami i dialogami nie powinno być zastąpione żywą akcją pantomimiczną nawet dla publiczności znającej język — a cóż dopiero dla cudzoziemca.

W dalszych punktach należałoby ocenić artystów. Zespół wykonawców jest skomponowany przez połączenie aktorów zawodowych, grających „role” w akcji montażu, wraz z amatorskimi zespołami wokalnymi i tanecznymi. O ile artyści dramatyczni nie mając zapewne ciekawego tekstu, ani jasno zarysowanych ról schodzą na plan dalszy, o tyle momentem prawdziwie umiającym jest ludowy Zespół Zw. Kobiet Słowackich Żywna, oraz mężczyźni — członkowie Teatru i Studia, wszyscy z zawołani tancerze i śpiewacy życia chórzysty. Bardzo ładne są pieśni, a specjalnie tańce (szkoda, że tak nieliczne) słowackie, te ostatnie charakterem wybitnie przypominające nasz folklor góralski. Tańce przedzielili nasze Państwa, ale kultura słowiańska wyrosła z jednego korzenia — widać to i w tańcu i w muzyce i w stroju. W sumie widowisko wykonano niewątpliwym nakładem pracy i kosztu, a w wyniku, jak każde inne — ma stronę dodatnią i ujemną. Jedno jest pewne — założenie propagowania folkloru poza granicami własnego państwa, a i również u siebie jest wskazane i stać się może wdzięcznym polem poboru dla dobrego montażowca, muzyka i baletmistrza. Pozytywna reakcja widza jest zapewniona, czego dowodem spontaniczne wybuchy braw w teatrze Polskim w każdym momencie, który się wery, wdziękiem czy prostotą i czystością na to zasłużył.

Nie wiem dlaczego dyrekcja teatru Nowego nazwała operetkę Jana Straussa p. t. „Zemsta Nietoperza”, operą komiczną, jeżeli wystawiła ją na swojej scenie po prostu jako komedię muzyczną, która to forma została do niej zastosowana w Warszawie już przed wojną w teatrze Polskim. Niezależnie od samego przedstawienia nazwanie go operą komiczną gdy w Filharmonii idzie również opera komiczna (Wesele Figara) zobowiązuje dyrekcję i artystów, którzy nie mogą rzecz prosta odpowiadać warunkom narzuconym im przez podtytuł, brak im bowiem na to możliwości. Opera komiczna wymaga pełnej orkiestry i śpiewaków — a w teatrze Nowym jest małej kilkunastoosobowy zespół (zresztą robiący co może pod sprawną dyrekcją M. Krzyńskiego) zamaly nawet do operetki, oraz artyści, z których tylko Popławski może śpiewać w operze — reżyser zaś jeszcze nie. A więc chyba nieporozumienie — bowiem Tuwim

rozróżnia dobrze operę nawet komiczną, od komedii muzycznej, tego jestem pewien.

A jednak, choć nieraz jeszcze w dalszym ciągu recenzji będę uragał, ganiał i w ogóle „miał za złe” — wyznaje na samym początku przedstawienie bardzo mi się podobało. Reżyserka p. Perzanowska dała mu życie i werwę, wszyscy poruszają się z nerwem, bawią się wraz z publicznością, a dyrektor Tuwim dodał mu humoru i nowego, niejednokrotnie bardzo udanego blasku.

Scenka teatru Nowego nie sprzyja większym widowiskom. Jest dziwne niezgrabna, sala jest mało akustyczna, toteż impreza tego rodzaju co „Zemsta Nietoperze” nie ma tam właściwej oprawy, a reżyser i aktorzy są niewątpliwie skrepowani w swych możliwościach. Mimo woli nasuwają się wspomnienia z pełnych rozmachu operetek wystawianych przez Wygodną na scenie teatru Wielkiego. „Ou sont les neiges d'antan” — ale cieszymy się tym co jest, tym bardziej, że w sumie, to co nam pokazał teatr Nowy, jest przyjemne mimo, że dekoracje są nieudane. Szczególnie w akcie pierwszym.

A teraz przejdźmy do aktorów. Mężczyźni góła Świetny Sempoliński, prawdziwie zabawny Chmielewski, zawsze trochę jednakowy, ale pełen humoru i życia Szczepański, Cygler u o miła niespodzianko, bardzo przyjemny aktor Popławski — oto lista pozytywnych przedstawienia.

Jeżeli idzie o panie — to sytuacja jest trochę gorsza. P. Sznerówna, mimo ładnego głosu, ma rażąco manierę w mowie i życia Szczepański, Cygler u o miła niespodzianko, bardzo przyjemny aktor Popławski — oto lista pozytywnych przedstawienia. Jeżli idzie o panie — to sytuacja jest trochę gorsza. P. Sznerówna, mimo ładnego głosu, ma rażąco manierę w mowie i życia Szczepański, Cygler u o miła niespodzianko, bardzo przyjemny aktor Popławski — oto lista pozytywnych przedstawienia.

Balet układu p. Wójcikowskiego b. miły. Primaballerina Krzyżkowska całkowicie zasługuje na swój tytuł.

## Wędrowki po scenach polskich

### Piękne „Igraszki” i brzydkie igraszki

Podziwiać trzeba subtelność z jaką Jan Drda przystąpił do okraszania prostej bajki ludowej wcale nie prosząc problematyką spraw ludzkich. Nie wiem jak powstało źródło, z którego czerpał czeski pisarz główny motyw treści „Igraszki z diabłem”. Wydaje się iż bajka ta, jak wszystkie jej siostry, powstała dość długo. Pokolenia wprowadzały zmiany, dorzucały nowe szczegóły. Szło w niej o pochwałę dla t. zw. chłopskiego rozumu, który w sposób nieskomplikowany, bez analiz i dociekań a przecież zawsze trafnie i rozsądnie rozwiązuje wszystkie zagadki. Ileż to w naszych polskich legendach postaci podobnych do Marcina Kabata.

Ludowa wersja historii o dzielnym chłopku, który poraził siebie z zakusami diabła posłużyła Drdzie za twórczości ludowej: stare jej formy pogłębiać, uszlachetniać nadawaniem artystycznego wyrazu, lub tworzyć nowe zgodne nie ze znaną formą twórczości ludowej, lecz z jej duchem.

Nie jest sprawą łatwą używając środków zupełnie prostych rozwiązać taki problem, jak ten by odpowiedzieć na pytanie co to jest sprawiedliwość. A przecież Drda wybrał z tego zadania bardzo dobrze. Wykazał, że sprawiedliwość to nie tylko kara, ale i miłosierdzie, nie albo jedno albo drugie, ale oba elementy w odpowiedniej zastosowane proporcji. Wykład Drdy jest prosty, a przy tym trafny. I to jest sztuka pisarska. Teoria o bombardowaniu siatki lampy katodowej wyklada się na politechnice przy pomocy rachunku różniczkowego i całkowego a w szkołach zawodowych niższego typu wystarczy porównanie lampy z garnekem przykrytym pokrywą w którym gotuje się groch: rezultat praktyczny taki sam.

Nie znaczy to wcale byśmy mieli rezygnować z poznania zawiśszych tajemnic wiedzy znaczy jednak iż wykładowca musi odróżniać aule pot techniki od sali w której ma dokonać wykładu powszechnego.

Teatr „Placówka” — Jan Drda: „Igraszki z diabłem”. Komedia w 3 aktach.

Ale, ponieważ recenzuję „operę komiczną” — czas na stronę muzyczną. Ta jest najłabsza w przedstawieniu. Przede wszystkim orkiestra. Jak powiedziałem wyżej, zespół jest za mały — stąd brak piany, lekkości, a poszczególne instrumenty brzmią obojętnie, nie stwarzając stonowanej całości. Kapelmistrz nic na to nie poradzi — chyba, że wpłynie na dyrykcję, aby zwiększyła zespół do conajmniej 30 osób. Wtedy uzyska się pełnię brzmienia tak potrzebną w dość, jak na operetkę, bogatej fakturze muzycznej Straussa. Podobnie przedstawia się sprawa ze śpiewakami. Poza Januszem Popławskim, śpiew solistów, a raczej solistek (bo trudno mi żądać śpiewu np. od Sempolińskiego, czy Chmielewskiego) wypadł blado i wręcz po szkolarsku. A szkoda, w „Zemście Nietoperza” jest co śpiewać. Choćby piękny czardasz Rozalindy (niestety skreślony) czy arija ze śmiechem Adeli, dobrze przez p. Bortnowską zrobiona, ale nie śpiewana itd. Przykładów można by przytoczyć więcej. Szkoda, że się tak stało, bo publiczność warszawska, ta pamiętająca dawne operetki czuje się zawiedziona, a ta młodsza, która ich nie pamięta lub nie zna — czy się na stronę muzyczną widowiska nie zwraca uwagi, gdy i dyrekcja teatru odsuwa ją na plan dalszy, lub nawet na bardzo daleki.

Powtarza się stara prawda, że operetka i wodewil to osobna grupa widowisk, na którą trzeba przygotować osobną ekipę artystów — śpiewaków i aktorów i tak ich przygotować aby umieli stronę muzyczną pogodzić z lekkością i humorem samej akcji scenicznej. A ten rodzaj widowiska jest potrzebny. Każdy z nas po dniu pracy chce się pośmiać i posłuchać lekkiej, przyjemnej, a jednak wartościowej muzyki.

Nie wątpię, że powoli i do tego dojdziemy, że kiedyś, już niedługo będziemy mieli taki teatr, w którym nawet „premierowa” publiczność będzie słuchała uwertury, a nie załatwiała podczas niej tysiące niecierpliwych ważnych spraw osobistych.

Stanisław Urstein

# Dość teorii

Dnia 22 marca około godziny 16-tej Polskie Radio nadało audycję muzyczną, w której szereg pieśni ludowych wykonał chór międzyszkolny z Siedlec.

Popisy chóru najmniej się chyba nadają do transmisji radiowych i byłbym pewnie zrezygnował ze słuchania tej audycji, gdyby nie to, że poprzedziła ją krótka rozmowa speakera z kierownikiem zespołu śpiewaczego. Zafrapowała mnie jedna odpowiedź dyrygenta. Na pytanie jak długo zespół pozostanie w Warszawie, usłyszałem słowa: „Jeszcze dziś późnym wieczorem wracamy do Siedlec. Czas, który nam został do wyjazdu poświęcić chcemy przede wszystkim na wysłuchanie opery. Nikt z moich uczniów nie zna jeszcze tego typu spektaklu”.

Z Siedlec do Warszawy jest 100 km. Chór międzyszkolny, występujący przed mikrofonem liczył 62 osoby. Ta grupa stanowi bądź co bądź reprezentację muzycznej części młodzieży siedleckiej, a w każdym razie reprezentację tej części, która interesuje się śpiewem. I nikt z tego zespołu nie był w swoim życiu na spektaklu operowym.

A tymczasem... w Warszawie p. Stanisław Urstein polemizuje na łamach „Dzisiaj i Jutro” z p. K. W. z krakowskiego „Ruchu Muzycznego” o formy „wykucia kierunku i rodzaju nowej polskiej muzyki, związanej z duchem kulturą i życiem narodu”.

W dyskusji padają słowa wielkie, coraz większe. Przeciwnicy używają jako podpor dla swoich tez autoritetów. Przed każdym nowym zacytowanym nazwiskiem chciałoby się nisko pokłonić głowę. Tylko, że... nikt z międzyszkolnego chóru siedleckiego nie słyszał w swoim życiu opery.

Użycie nazwiska p. Ursteina i inicjałów p. K. W. to kwestia czystego przypadku. Panowie Ursteinów i panów K. W. prowadzących ze sobą teoretyczne dyskusje, rozdzierających szaty na zapas nad przyszłością muzyki polskiej można nazwać naliczyć bardzo wielu. Świadczą o tym łamy pism polskich. Z rozważań ich powstają teorie. Tyle teorii, ilu panów. Jesteśmy bogaci w teorie. A z międzyszkolnego chóru siedleckiego nikt nie był na przedstawieniu operowym.

Dwa elementy składają się na powstawanie, nowych form życia: teoria i praktyka. Poszukiwania teoretyczne zawisną w próżni, gdy się ich nie wsprze poddaniem próbie codziennego życia. Sama teoria bez praktyki to zbiór frazesów. Tworzenie takich teorii jest równie wrogi postępowi, jak brak jakiegokolwiek działania. Niebezpieczeństwo jest wyraźne: trawimy zbyt wiele czasu na zapisywanie papieru, na teoretyczne dociekania, na tworzenie wizji „nowych, wspaniałych światów” — a zbyt mało robimy, by wizje zastąpić, może mniej wspaniałymi, ale zato konkretnymi realiami.

Byłoby wskazane, aby p. Urstein (i inni), p. K. W. (i inni) bardziej się martwili, iż widowisko operowe jest gwarę, lecz kompiłowany, niemaszynny żargon. Gdyby nie ta jedna niepotrzebna i szkodliwa cecha spektaklu znać by go było można za bardzo dobry. I tak trzeba ocenić pracę zespołu aktorskiego, który dał z siebie wszystko, by podkreślić istotne walory komedii, by zatuzować niezręczność adjustratora. Na aplauz zasługuje pełna lista wykonawców. Ułatwia to pracę recenzentowi. Miał sienia się na cenzurkę wystarczy wymienić nazwiska pań: B. Fijewskiej, Z. Zyczkowskiej, H. Ryszkowskiej, A. Szymańskiej, L. Dejunowicz oraz panów: F. Zukowskiego, S. Łapińskiego, K. Dejunowicza, M. Maciejewskiego, J. Wasilewskiego, L. Kozłowskiego, W. Grabowskiego, Z. Lubelskiego, L. Ordona, T. Woźniaka, J. Łodyńskiego, B. Bolkowskiego, B. Brodelewskiego, E. Biernackiego, a wymieniąwszy powiedzieć hurtem: brawo, brawo, brawo.

Dekoracje Otto Axera bajkowe i bajeczne. Jerzy Artemski

Problemu upowszechnienia muzyki nie rozwiąże się w Polsce „generalnie”. Z 80 chyba polskich kopalń węgla każda ma inny plan produkcji. Ta „inność” to nie tylko zmiany proporcjonalne do stanu walory. Czynnikiem decydującym są tu warunki lokalne. Społeczeństwu polskiemu daleko do jednolitości pod względem kultury muzycznej. I dlatego centralne, generalne, ogólnikowe rozważania są bezcelowe. Prawo teoretyczne jest jasne i dawno już zostało sprecyzowane: należy upowszechnić muzykę. Nie tu dodać nie można. Zostaje tylko znak zapytania przy słowie „jak”. Jednej wspólnej a słusznej odpowiedzi nie da tu ani p. Urstein, ani p. K. W. Inna ona bowiem musi być dla Śląska, a inna dla Przemysła. Czy panowie zdajecie sobie sprawę z tego, że wystarczy tramwajem przejechać w ciągu 45 minut pęstrzeń 8 km z Katowic do Sosnowca, by trzeba było zupełnie zmienić katowicki plan upowszechnienia muzyki na plan dla stolicy Zagłębia Dąbrowskiego. Czy panowie zdajecie sobie sprawę z tego, że w Warszawie uwertura operowa uważana jest za przegrówkę do towarzyskich rozmówek, że spektakl operowy zaczyna się według widzów dopiero wtedy, kiedy kurtyna idzie w górę, podczas gdy w Poznaniu uwertura traktowana jest jak należy, to znaczy jako organiczna część opery. Dlatego, kiedy stało się jasne, że muzykę trzeba upowszechnić, to jedynym uogólnieniem powinien zostać ten właśnie slogan. Wszystko inne winno prowadzić do praktycznych rozwiązań szczegółów, do cząstkowych planów: innego dla Białegostoku, a innego dla Krakowa. Z radością powitałbym artykuł omawiający problem zapoznania z prawdziwą muzyką mieszkalców Poznania. Natomiast teoretyczne rozważania, mimo teoretycznych słuszności przypominają mi, może miłą, ale bezcelową zabawę przelewania z pustego w próżne. Młodzież siedlecka nie zna opery.



# Czytelnik uważa, że...

W niniejszej rubryce drukować będziemy wypowiedzi i opinie naszych Czytelników na temat wszelkich zagadnień życia społecznego, politycznego, społecznego, gospodarczego i kulturalnego, choćby odbiegające od stanowiska redakcji.

Wypowiedzi winny być opatrzone imieniem i nazwiskiem lub pseudonimem (w tym wypadku nazwisko winno być podane do wiadomości redakcji) oraz nazwa miejscowości. Wypowiedzi nie powinny przekraczać 50 wierszy druku. Ze względu na brak miejsca, redakcja zastrzega sobie prawo przeprowadzenia ewentualnych skrótów z zachowaniem pełnego sensu nadesłanych listów.

## W SPRAWIE OCENY KRYTYCZNEJ WOJCIECHA BAKA

Szanowna Redakcjo.

Sprostowanie p. Bohdana Grzeniowskiego do artykułu Zygmunta Lichniaka o powojennej twórczości Wojciecha Baka słusznie wskazuje jak zatarły się w pamięci tak świeże, zdawałoby się (starszym ludziom) epizody życia literackiego dwudziestolecia, którego kontynuacją jest i być powinno bieżące życie literackie. Ale w niektórych szczegółach sprostowanie samo jest tego zatarcia wspomnień dowodem. Ponieważ te szczegóły winną się ze wspomnianym przy tej okazji moim nazwiskiem, uważam za swój obowiązek sprzeciwić niektórym informacjom p. Grzeniowskiego. Tak nie jest ściśle, że w „Roczniku Literackim 1938” ostro skrytykowałem „Monologi Anielskie”; przeciwnie, skorzystałem z okazji pomówienia o nich, żeby wziąć w obronę poetę przed zorganizowaną nani napaścią w „Ateneum” (obszerniej i nieco wcześniej zabrałem głos w tej samej intencji w Dodatku Literackim do I.K.C.). Natomiast w Roczniku Literackim 1934 wyraziłem swoje zdanie o pierwszej, tak wysoko wyróżnionej książce Baka, nie przysługując się do chóru wielbicieli, a raczej, uznając wielki talent poetę, odmówiłem aprobaty wyrokowi jur., obciążającemu przez niebawale wysokie podniesienie debiutu, sytuację literacką Baka i jego przyszłą karierę pisarską. Przepowiednie moje miały się rychło sprawdzić (choćby we wspomnianym powyżej ataku Ateneum); a zauważone przeze mnie już wówczas, (a także później w Roczniku Literackim 1935, piórem s. p. Władysława Sebryły, który mnie w tym jednym tomie zastąpił w funkcji recenzenta poezji lirycznej), ograniczenia samego talentu (znakomitego poza tym), są również uwydatnione w świetnym, choć często zbyt surowo i nonszalancko pisanym, artykule Z. Lichniaka, któremu słusznym z tego powodu udzielona ademoniacja była powodem skreślenia tych słów paru.

K. W. Zawodziński

## TIUTCZEWA ODA „NA WZIĘCIE WARSZAWY”

W bardzo rozsądnych intencjach i dobrze napisanych „Rozważaniach o stosunku do literatury niemieckiej” („Kuznica” nr 5 br.) P. Hertz przeprowadza między innymi i tę myśl, że postawa polityczna pisarza, czy też nawet wrogie wystąpienie jego względem danego narodu czy grupy społecznej, nie powinny zamykać oczu na wartości artystyczne, których ten pisarz jest twórcą. Myśl godna najszerszego upowszechnienia, ale wśród argumentów za nią przytoczono i mniej fortunny przykład „reakcyjnego z poglądów poetę Tiutczewa, który obok wspaniałych liryków napisał także odę Na wzięcie Warszawy”.

W zdaniu tym, zawierającym porcję prawdziwych wiadomości, błędy skupiają się w dwóch małych słówkach: „obok” i „także”. „Na wzięcie Warszawy” powinno być umieszczone nie obok, lecz wśród wspaniałych liryków tego poetę. Inaczej twierdzić może ten tylko, kto utworu tego nie zna lub nie umie ocenić koturnowej, mitologizującej odmiany patosu Tiutczewa, który przecie odgrywa taką rolę w jego poezji, że przypominamy choćby ostatnią zwrotkę „Burzy wiosennej”. Jeśli zaś p. Hertzowi głównie chodzi (jak się to zdaje) o antypolską i reakcyjną tendencję utworu, więc o coś, co dałoby się w równoległym zdaniu ukazać, mówiąc np. o Puszkynie, twórcy dzieł genialnych, ale także wiersza „Oszczercom Rosji” — to i tutaj nieznamość ody Tiutczewa spłatała przykrego figla: właśnie jest to utwór najjaskrawiej, u tego, na ogół istotnie reakcyjnego poetę (choć, jak dowodzą niektórzy krytycy radzieccy,

On widzi gwiazdę poprzez mgły,  
I za tą gwiazdą śmiało kroczy  
Do tajnych meł — przez krew i izer.

Lecz ty, przesyty bratnią strzałą,  
Gdy taki z góry padł ci los,  
Jednoplemienny orle biały  
Na odkupieniczy padłeś stos —  
Wierz słowu Rosji: proch twój ona  
Przechowa wiernie aż po dzień,  
Gdy razem z tobą wyzwolona,  
Jak feniks zmartwychwstanie zeń!..

(Przekł. T. Stępniewskiego)

Biorąc przykłady z literatury mniej znanych, należało dobrze się zastanowić, czy są trafne, a najlepiej było poradzić się jakiegoś znawcy, np. tak bliskiego przecie współpracownika „Kuznicy”, L. Gomolickiego. Znajomość w szczegółach, a choćby ogólna orientacja (którą nie popisał się autor tego artykułu, umieszczając niedawno między poetami minorum gentium epoki Puszkina, obok Wieniewitowa i księcia Wiazemskiego — Boratyńskiego, co jest tak, jakby np. wśród „drugorzędnych przedstawicieli poezji filozoficznej” naszego romantyzmu wymienić, obok J. N. Kamińskiego i St. Garczyńskiego — C. Norwida), nie zdobywa się zbyt tanim kosztem, zwłaszcza w naukach historycznych. Artykuł, o którym mowa, jest poprzedzony „Uwagami o sztuce radzieckiej”, gdzie znalazł miejsce taki passus: „zadania, które stanęły przed plastyką, z realistą Courbetem na czele, podczas Wielkiej Rewolucji Francuskiej...”. Może zresztą krytyka artystyczna ma prawo do drobnych pomyłek w chronologii, o małe pół wieku..

K. W. Zawodziński

Szanowny Panie Redaktorze!

W numerze 10 „Dziś i Jutro” z satysfakcją przeczytałem wywiad z profesorem Helsztyńskim. Satysfakcją ta dotyczy nie tyle samego wywiadu, co faktu ukazania się go. Osobiście uważam „Rozmowę z prof. Helsztyńskim” za pewną jaskółkę zwiastującą cykl wywiadów z uczonymi, literatami, artystami. Społeczeństwo nasze słabo na ogół orientuje się w twórczości przede wszystkim naukowej, a także i literackiej. Toteż wypowiedzi ludzi kompetentnych na tematy stanowiące ich specjalność wydają się nader pozytywne. Pragnąłbym, a przypuszczam, że jest to także życzenie wielu innych czytelników, ujrzeć na łamach „Dziś i Jutro” serię wywiadów ilustrujących całokształt polskiej twórczości kulturalnej i we wszystkich dziedzinach. Jak dotąd bowiem za mało interesujemy się pracownikami twórczymi, a o ich dorobku wiemy tylko tyle „by w rozmowie nie sponać rumieńcem wstępu”.

A przy tym gada się tyle o upowszechnieniu kultury. Myślę, że „Dziś i Jutro” wykona kawał dobrej roboty drukując cykl takich wywiadów.

Jan Kaczmarek  
Warszawa

Cel inny, innej nakaz wiary  
Rozświetlał duszy naszej głębi:  
Zachować zbawczej ciosom kary  
Nietkniętym twardy państwa grab,  
Słowiańskie ludy w spółce bratniej  
Pod jeden znak zjednoczyć znów —  
I w bój o światło, bój ostatni,  
Zwycięsko wieść braterski huk!

Li tylko taki cel wysoki  
Do walki hufce nasze wiódł;  
Tajemne moźnych sił wyroki  
Na barki śmiało wziął nasz lud.  
Na wysokościach, w mgieł omroczy,

Szanowny Panie Redaktorze!

W numerze tygodnika społ. - kulturalnego „Wies” z dnia 13 lutego br. w dziale „Fakty i zdarzenia” znalazłem fascynującą notatkę, wójta jednej z gmin woj. szczecińskiego o repatriantach zza Bugu Otóż uważam za stosowne wyrazić w związku z tym kilka uwag o charakterze krytycznym. Mają one głębokie uzasadnienie, tym bardziej, że korespondent „Wsi” zasłużonych niejednokrotnie w pracy pionierskiej repatriantów, nazywa bez większego zastanowienia „zbieraniną ludzką zza Bugu”. Jak szkodliwe jest to określenie — dowodzi zbytecznie. Warto tylko się zastanowić jaki rezonans mogło wywołać, a zapewne i wywołało u niedobrego repatrianta. Cóż dobrego może on pomyśleć o tym wójcie — odnowicielu antagonizmów regionalnych, który celowo jakby puszcza w niepamięć fakt, że właśnie dzięki wysiłkom tej „zbieraniny” szybko zdołano zagospodarować Ziemię Odzyskaną, że Gdańsk, Szczecin, Legnica, wiele innych miast, miasteczek i wsi wśród swych mieszkańców mają największy odsetek „wschodnich” repatriantów, że wreszcie z 5 mil. ludności osiadłej na Z. O. połowę stanowi owa „zbieranina”, zlekceważona przez wspomnianego wójta.

Tymczasem czynnik oficjalny, jak śpieszyły, tak i nadal śpieszą z pomocą repatriantom zaludniającym prapolskie Z. O. po Odrę i Nysę. Jednocześnie ich życie wcielają w jeden nurt życia całego kraju, czego najlepszym dowodem zniesienie Min. Z. Odzyskanych. Nie jest bezczynnym w tej kwestii Kościół przez swych pasterzy, skutecznie anulujący niezdrowe sprzeczności wśród ludności Z. O.

Do niedawna np. śluzaczki za żadne skarby nie chciały zawierać małżeństw z repatriantami, dziś coś podobnego nie ma miejsca, tak jak rzadko miewają miejsce bójki między autochtonami, a ludnością napływową, przed laty dość częste, Braterska symbioza coraz głębiej zapuszcza korzenie, choć tu i ówdzie znajdują się ludzie (sic!), którzy chcą ją podkopać. Z tego względu trzeba postawić im zarzut, że albo mają wysoką wyobraźnię o ich własnym „ego”, albo jej nie mają, lecz za to czują dziwny brak sympatii do braci zza Bugu, z gruntu bezpodstawny.

Zbigniew Lenartowicz  
Łódź

Szanowny Panie Redaktorze!

Po przeczytaniu długiego, czy aby nie za długiego artykułu J. Dobraczyńskiego „Quo Vadis — po 52 latach” chciałoby się cenionemu autorowi „Najeźdźców” zadać pytanie, Quo Vadis Dobraczyński Działalność odbrązawiająca nie jest w naszej krytyce literackiej zjawiskiem nowym. Byliśmy świadkami okresów przeradzania się jej w istne opętanie, widzieliśmy wielu nieznanych krytyków, którzy przeżyli momenty niesłychanych wlotów dzięki odkrobywaniu

wielkości. Sienkiewicz zawsze kusił nowatorów krytyki literackiej. Po wykończeniu Trylogii (pamiętnie ataki Górki i wszystkich jego konfratrów, aż po dzień dzisiejszy (przyszła kolej na Quo Vadis”...)

2/3 artykułu Dobraczyńskiego poświęcone są wyłapywaniom rozmaitych historycznych pomyłek Sienkiewicza. Z punktu widzenia mrówczej pracy wynik przedstawia się całkowicie pozytywny — jako argument brzmi jednak słabo, nieprzekonywująco. Sienkiewicz nie był przecie historykiem Wiem, że Dobraczyński korzystając z tych samych prawie materiałów pomnożonych jedynie o późniejszy dorobek naukowy, stworzył rzecz pod względem dokładności historycznej nienaganną, tym nie mniej nie uważam by to mogło stanowić powód do ataków na Sienkiewicza.

Dobraczyński sam przyznaje Jojalnie, że „Quo Vadis” spowodowało wiele nawroceń. A to moim zdaniem jest naprawdę istotne i świadczy o nieprzemijającej wartości — Quo Vadis. Nie mam zamiaru atakować słusznych i dobrze sformułowanych uwag Dobraczyńskiego, jednak uważam, że artykuł jego wywiera na czytelniku wręcz przeciwnie intencjom autora wrażenie, i zmusza do snucia generalnych, a krzywdzących Sienkiewicza refleksji.

Sądze, że to samo można było napisać krócej i co ważniejsze staranniej.

Jan Zieliński

## Nadesłano

WYDAWNICTWO MARIACKIE — KRAKÓW.

O. Franciszek Świątek — W blaskach Anioła (Aniela Salawa — wyd. III przygotował do druku O. dr Joachim Bar, str. 175. DIECEZJALNA SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZO-RELIGIJNA „VERITAS” — TARNÓW. Ks. dr Jan Bochenek — Na Ołtarzu — rozważania eucharystyczne, str. 129.

WYD. „VERBUM” — KOSZYCE.

Stefan Hatała-Krestanki Społecznego Porządku str. 265.

WYD. GEBETHNERA I WOLFFA. WARSZAWA.

Kornel Mukuszyński — Wyprawa pod psem, wyd. II ilustr. i okł. K. M. Sopolcki, str. 308.

Ewa Szalburg — Zarembina — Dzieci Miasta — ilustr. J. Grabska i A. Pucek, str. 55.

M. J. Zalewska — Mieszkaniec Puszczy — wyd. 10. z 5 rys., str. 424.

Władysław Umiński — Znoyny Chleb — przygody robotnika polskiego w Ameryce — wyd. IV przejrzaną ilustr. Holewińskiego, str. 382.

Władysław Orkan-Kostka Napoleński — powieść z XVII w. wyd. III str. 284.

W. Przyborowski — Szwedzi w Warszawie — str. 216.

Maria Konopnicka — Na Jagody — książeczka leśna.

WYDAWNICTWO KSIĄZNICY „ATLAS” — WARSZAWA

TEODOR PARNICKI — Srebrne Orły, pow. z przelom. X i XI w., wyd. II, str. 545.

WYDAWNICTWO TOWARZYSTWA NAUKOWEGO KUL — LUBLIN. STEFAN SWIEZAWSKI — Byt — Zagadnienia Metafizyki Tomistycznej, str. 360.

JAN TUROWSKI — Zmiany społeczne wsi a miasto, str. 184.

PANSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY — WARSZAWA. JAN PTASNIK — Miasto i Mieszkaństwo w dawnej Polsce, wyd. II, str. 421.

GEORG POLITZER — Wykład Filozofii — Zasady podstawowe, przekł. J. Adamski, okł. A. Bernaciński, str. 247.

LUCJAN RUDNIKI — Stare i Nowe, t. I, wyd. III, str. 227.

WACŁAW SIEROSZEWSKI — Ocean, pow. historyczna, t. I i II, wyd. nowe.

**Sieci rybackie cienkie i grube  
Wszystkie przeciwpożarowe i inne**

Fachowe, skutecznie działające i odporne na ogień, niepalne, niezmiennie doskonałe i tanie w wyrobieniu

WYTWÓRNIA WYROBÓW TKACKICH  
inż. WITOLD IZDEBSKI i S-ka  
„IWIS” S.A. KŁ. GRODZISK MAZ. SPÓŁDZIELCZA 2-4 7067

Redagują: Bolesław Piasecki, Dominik Horodyński, Andrzej Micewski.

Adres Redakcji i Administracji: Marszałkowska 81, m. 17, tel. 880-71 Konto P.K.O. — Nr 1-727.

Sekretarz redakcji przyjmuje: codzień, prócz wtorków i sobót, godz. 12.30 — 13.30

Druk Skolimowska 8.

Wydawca: Kolegium Redakcyjne

Prenumerata miesięczna 80 złotych. Kwartalna 180 złotych

B-73721